# ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 3 BYDGOSZCZ — STYCZEŃ ROK 1946

*Aleksander Rogalski*

## ZDOBYCZE KULTURALNE POMORZA

Przeciętny inteligent polski rzadko kiedy uświadamia sobie w pełni, że Pomorze dało Polsce hymn narodowy, a to dzięki Józefowi Wybickiemu, który był Pomorzaninem. Jeśli się zaś przypomni, że Wielkopolska dała państwu naszemu kolebkę, a Śląsk godło, bo „Orzeł Biały" pochodzi z insygnium herbowego księcia śląskiego, Henryka Brodatego, które do samego jeszcze końca wojny widniało na jego nagrobku w katedrze wrocławskiej, — to trudno nie dostrzec w tych faktach wielkiej symboliki. Trudno nie dostrzec najwymowniejszego dowodu, że trzy te ziemie zachodnie, będące ciągłą strefą zmagań z wrogiem, bynajmniej nie stanowią peryferyj naszej Ojczyzny, lecz jej trzon fundamentalny. Każda z nich dała Ojczyźnie rzecz najcenniejszą, jaką wyniosła z krwawych, własnych doświadczeń wojennych niby wspaniałe trofeum, darem swym wpisując piętno niezatarte na naszym charakterze i naszym przeznaczeniu.

Rzeczy te należy mieć na uwadze, gdy się ocenia dorobek kulturalny Ziem Zachodnich.

Za wyjątkiem Wielkopolski (do rozbiorów) nie miały one w swej przeszłości warunków odpowiednich dla spokojnej pracy twórczej. Nie było im dane poza bardzo krótkimi i nielicznymi momentami wnieść do kultury ogólno-polskiej takich wartości, które by odpowiadały ich istotnym możliwościom wewnętrznym. Nieustanna walka o byt odbiera ich pracy i życiu kulturalnemu charakter niezależny, samoistny, podporządkowuje je swoim prawom i wymogom. Jeśli więc ich dorobek kulturalny nie jest imponujący, to przecież trzeba umieć wyczuć całą wagę każdej pozycji w tej dziedzinie, zdobytej w warunkach tak surowych i nieprzyjaznych.

W rejestrze kulturalnych pozycyj Pomorza najważniejsze znaczenie posiada nazwisko toruńczyka, Mikołaja Kopernika. Bo choć genialna jego umysłowość rozkwitła w centralnym ognisku ówczesnej kultury polskiej, jakim był Kraków ze swą Wszechnicą, to przecież miasto, w którym ujrzał pierwszy raz firmament gwiaździsty i któ-



STANISŁAW BRZĘCZKOWSKI — GDYNIA — DRZEWORYT

re dziecku dostarczyło pierwszych przeżyć i wrażeń, nie musiało pozostać bez wpływu na kształtowanie się potężnego ducha autora „O obrotach ciał niebieskich". Nic przeto dziwnego, że na ziemi pomorskiej zawsze był bardzo żywy kult Astronoma.

W epoce Kopernika wcale już bujny był ruch umysłowy w Prusiech Królewskich, jak nazywano Pomorze aż do rozbiorów. W ciągu 16-tego stulecia wyszedł tutaj z druku liczny szereg dzieł, a obok tego wielu uczonych Pomorza zdobywało sławę poza granicami tej prowincji. Na czoło wysunął się Gdańsk, który stanowił jedno z głównych ognisk humanizmu na Pomorzu. Stąd wyszedł przede wszystkim Jan Dantyszek, uczeń Uniwersytetu Jagiellońskiego, późniejszy biskup chełmiński i warmiński, wytrawny dyplomata i wybitny poeta polsko-łaciński.

Jest rzeczą interesującą, że oba wielkie miasta Prus Królewskich, Gdańsk i Toruń rozpoczęły w ogóle swą produkcję wydawniczą pracami polskimi. Pierwszy bowiem druk gdański stanowiła „Agenda" kościelna ułożona przez kanonika wileńskiego Marcina, wydana w r. 1499 w Gdańsku do użytku diecezji wileńskiej. Pierwszym zaś drukiem toruńskim jest również dzieło Polaka—pisarza protestanckiego, kaznodziei przy kościele N. P. Marii w Toruniu, słynnego Erazma Glieznera, wydane w jęz. łacińskim, przeciw sekcie nowochrzczeńców.

Reformacja, której główną domeną było wówczas Pomorze, wywołało duże ożywienie umysłów. Wielkiego znaczenia dzięki niej nabrał w drugiej połowie XVI w. Toruń, który stał się ogniskiem umysłowym polskiego protestantyzmu. Działał tutaj wspomniany już Glizner, który był znakomitym stylistą i zasłużonym pisarzem pedagogicznym. Z oficyn toruńskich wyszedł wtedy szereg ważnych dzieł, a liczba ich wynosząca co najmniej 120 druków w tym stuleciu odznacza się ogromną przewagą druków w języku polskim, podczas gdy niemieckich doliczyć się można zaledwie kilkunastu. Najlepiej to ilustruje intensywność kultury polskiej w Toruniu, mieście bądź co bądź wówczas w dużej części przez Niemców zamieszkałym. Założone w tym czasie gimnazja toruńskie i gdańskie posiadają piękną kartę w dziejach wychowania w Polsce w ciągu kilku stuleci. Profesorowie obudzali, pierwsi w naszym kraju zamiłowanie do rzeczy ojczystych, pisząc rozprawy, organizując dysputy i urządzając widowiska szkolne z dziejów Polski i Prus, a poziom nauczania w tych szkołach był w XVII w. wyższy niż w szkołach Korony i Litwy.

W okresie reakcji katolickiej powstaje na ziemi pomorskiej wiele szkół jezuickich, zakładanych przeważnie z inicjatywy głównego filara katolicyzmu polskiego, kardynała Hozjusza. Spośród nich wielki rozgłos zdobyło prowadzone przez jezuitów seminarium papieskie w Brunsberdze na Warmii, wśród którego uczniów znajdujemy przedstawicieli wszystkich narodów Europy, nawet Tatarów. Niemałą sławą cieszyły się również kolegia jezuickie w Toruniu, Grudziądzu i Chojnicach, które, posiadając charakter wybitnie polski, stały się kuźnią sarmackiego wychowania Pomorzan.

Znaczną rolę w XVIII wieku odegrało księgarstwo i drukarstwo gdańskie, które w epoce upadku sztuki graficznej rzuca na rynek wewnętrzny i zagraniczny, spełniając tam rolę propagandową, mnóstwo tomików w $12^0$ i in $4^0$ w jęz. łacińskim, więc obcym szeroko dostępnych, o rzeczach polskich traktujących. Tu ukazały się dzieła A. Maks. Fredry, Kojałowicza i innych w wysokich nakładach starannie, nieraz wytwornie odbite, które dzięki swej taniości spełniły rolę przełomową w dziejach książki w Polsce, analogiczną do tej, jaką odegrały druki holenderskie w zakresie demokratyzacji taniej ówczesnej książki europejskiej.

W epoce tej istnieje na Pomorzu duży ruch piśmienniczy i wcale pokaźna liczba pisarzy, którzy choć nie stanowią wybitnych zjawisk literackich, nie małe wszakże znaczenie posiadają dla dziejów kultury obyczajowej i intelektualnej tej części Polski.

W wieku osiemnastym następuje upadek piśmiennictwa polskiego w Prusiech Królewskich. Jest to okres wzrostu niemieckiej świadomości narodowej żywiołu miejskiego tej ziemi, który przez swych pisarzy podtrzymuje żywe związki literackie i naukowe między Prusami polskimi i książęcymi, w znacznie większym stopniu, niż to miało miejsce w wiekach ubiegłych. To też w literaturze polskiej czynni są już bardzo nieliczni Pomorzanie, ale za to na kartach jej zapisuje się tak znakomita indywidualność jak Józef Wybicki, twórca polskiego hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła", wybitny mąż stanu, publicysta i komediopisarz.

Okres od rozbiorów do r. 1830 jest najgorszy dla piśmiennictwa polskiego na Pomorzu. Zaledwie kilka druków polskich wychodzi w Gdańsku i Grudziądzu. Odosobniony pracuje w Gdańsku patriota polski Krzysztof Celestyn Mrongovius, zasłużony gramatyk i leksykograf, tłumacz Kanta i klasyków greckich. Mimo to jednak Pomorze, a mianowicie Toruń wydaje wtedy wielkiego językoznawcę i miłośnika polszczyzny Samuela Bogumiła Lindego, autora epokowego „Słownika języka polskiego" i Fryderyka Skarbka, znakomitego ekonomistę i powieściopisarza, dramatopisa i historyka, a Gdańsk — Gotfryda Ernesta Grodka, wybitnego filologa, prof. Uniwersytetu Wileńskiego, nauczyciela Adama Mickiewicza, którzy wszyscy działają na innych terenach polskich. Znamienne jest, że ze wszystkich szkół polskich znika wtedy język polski, ale pozostaje w szkołach średnich w Chełmnie i — Gdańsku. Jak silna musiała być polskość obu tych miast, jeśli zdołała powstrzymać impet najsroższej polityki antypolskiej królów pruskich!

W połowie czwartego dziesięciolecia ub. wieku z odrodzeniem narodowym na Pomorzu rozpoczyna się nowy rozwój piśmiennictwa polskiego i jego rozkwit. Ma ono teraz charakter inny niż poprzednie, staje się nawskroś ludowe, podobnie jak na Śląsku i częściowo w Wielkopolsce. Częścią integralną ruchu umysłowego staje się publicystyka, którą reprezentują: „Szkółka Narodowa" (później: „Szkoła Narodowa") i „Biedaczek", wychodzący w Chełmnie, doskonale redagowane, odzwierciadlające ówczesne wrzące i kipiące życie publiczne. Rozwija się oświatowe bibliotekarstwo wcześniej, niż w innych dzielnicach Polski.

Wielkie zasługi na polu piśmienniczym kładzie najwybitniejszy działacz XIX wieku na Pomorzu, poseł Ignacy Łyskowski, który powołał do życia po upadku „Szkoły Narodowej" nowe pismo w Chełmnie „Nadwiślanina". Inny zasłużony pisarz popularny, Julian Preis (Sierp Polaczek) wydaje w Chełmży „Biedaczka" i szereg dziełek patriotycznych, później zaś ogromną popularność zdobywają jego kalendarze toruńskie. Filolog Stanisław Węclewski wydaje w Chełmnie wzorowe edycje naukowe: „Flisa" Klonowicza i „Sielanki" Szymonowicza. Po nich księgarz i bibliofil Walenty Fiołek rzuca w świat mnóstwo książeczek ludowych i zbiera polskie druki pomorskie. Tutaj w r. 1858 wychodzi pierwsze na ziemiach polskich wydanie „Pana Tadeusza". Okazuje się więc, że Mickiewiczowe Księgi zanim rozeszły się po całej Polsce, wpierw błądziły pod strzechami pomorskimi! W tym samym czasie w Starogardzie pojawia się zbiorowe wydanie utworów Fryderyka Chopina.

Po powstaniu styczniowym Chełmno ustępuje pierwszeństwa Toruniowi, gdzie powstaje w r. 1867 pierwszy dziennik polski na Pomorzu „Gazeta Toruńska", znakomicie redagowana, z której łamów rzucono m. in. inicjatywę założenia teatru polskiego w Poznaniu. Miała ona takich współpracowników jak: J. I. Kraszewski, Teofil Lenartowicz, Paulina Wilkońska, Zygmunt Celichowski, Wojciech Kętrzyński. Prócz tego Toruń wydaje cenne roczniki Sejmików Gospodarskich oraz świeżo założonego Towarzystwa Naukowego, dzieła historyczne, poezje Gustawa Zielińskiego, powieści, rozprawy literackie.

W tym samym czasie wytwarza się w Pelplinie, od r. 1824 stolicy diecezji chełmińskiej, środowisko wydawnicze z przewagą popularnego piśmiennictwa religijnego, któremu ton nadaje „Pielgrzym", drukujący także powieści historyczne. Tutaj wybija się szczególnie ks. Kujot, autor monumentalnych „Dziejów Prus Królewskich", długoletni prezes toruńskiego Towarzystwa Naukowego.

Prasa polska pojawia się również w innych miastach i miasteczkach Prus Zachodnich, dowód tężyzny narodu, głównie w Gdańsku i Grudziądzu, gdzie słynna „Gazeta Grudziądzka" Wiktora Kulerskiego zwycięsko przeciwstawia się sieci niemieckich pisemek lokalnych.

Odżywa piśmiennictwo kaszubskie, a to dzięki lekarzowi Florianowi Ceynowie ze Sławoszyna, nawiązującemu stosunki ze światem słowiańskim. Hieronimowi Derdowskiemu, autorowi żartobliwej epopei kaszubskiej „O Panu Czorlińskim" i wreszcie dzięki poetom młodokaszubskim Aleksandrowi Majkowskiemu i Janowi Kaszowskiemu. Z nich w Polsce Odrodzonej działalność literacką kontynuuje Majkowski, lekarz, wielki działacz narodowy z okresu Traktatu Wersalskiego, długoletni redaktor „Gryfa", autor eposu kaszubskiego „Życie i przygody Remusa". Skupiał on koło siebie liczne grono gorących wielbicieli kaszubszczyzny.

Nie można wreszcie nie wspominać o tych wszystkich wybitnych Pomorzanach, którzy nie mogąc zdobyć szerszego pola działalności w stronach rodzinnych, przenieśli się do innych środowisk polskich. I tak w Wielkopolsce działali m. in. archeolog Kazimierz Szulc i językoznawca Franciszek Malinowski, inicjatorzy i założyciele Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w Galicji filozof ks. Stefan Pawlicki, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego i historyk Bronisław Dembiński, późniejszy profesor Uniwersytetu Poznańskiego.

W Polsce Odrodzonej w życiu kulturalnym Pomorza zaczęło dokonywać się powoli przeobrażenie. Ażeby jednak mogło się ono ostatecznie skrystalizować, na to trzeba było dłuższego czasu. Wojna ostatnia, ten naturalny proces gwałtownie przerwała. Cały niemal dorobek kulturalny został zniszczony.

Ale substancje duchowe tego dorobku, na który złożyła się długa praca szeregu pokoleń, trwają.

Jeśli w czasie okupacji polskość Pomorza tak bohatersko i z takim skutkiem opierała się wszelkim destrukcyjnym poczynaniom wroga, to właśnie głównie dlatego, że z tych substancyj czerpała swą siłę.

Dzisiaj po usunięciu i rozgromieniu odwiecznego prześladowcy tej ziemi stoi przed Pomorzem obowiązek odbudowy życia kulturalnego i wolna droga do jego pełnego rozkwitu.

*Aleksander Rogalski*

*Zygmunt Felczak*

# PRZYCZYNA CHOROBY I ŹRÓDŁA ODNOWY KULTURY POLSKIEJ

Wielkie przemiany w historii dojrzewają bardzo powoli. Ich końcowa faza natomiast odbywa się, jak jakiś kosmiczny poród, w gwałtownym spazmie i bólu. Takim fenomenem jest dziejowy upadek Polski. Jeszcze w początkach XVII wieku w Moskwie słyszy się utyskiwania na ekspansywność Polaków. Potem jednak rozpoczyna się epoka drętwienia narodu polskiego i w ciągu kilku pokoleń zachodzą niezauważalne przemiany, wynikiem których są rozbiory i upadek państwa. Dwudziestolecie niepodległej Polski nie zmienia w niczym już ustalonego kierunku. Bardzo niewielu wie w Polsce o tym, że potencjał ekonomiczny, na ziemiach wchodzących w skład Polski cofnął się dość pokaźnie, w stosunku do 1913 roku. Siły gospodarcze Polski w 1939 r. były mniejsze niż te, które istniały na tych samych terenach w 1913 r. Produkcja przemysłowa Polski w r. 1913 wynosiła 1% produkcji światowej, natomiast 1938 r. już tylko 0,4%. Musiało się to odbić na potencjałach politycznych a więc i wynikach drugiej wojny światowej.

Nie będziemy bawili się w strusią politykę, i odrazu stwierdzimy, że źródłem tak niezwykłej kierunkowej rozwoju Polski jest głęboka degeneracja całej naszej kultury narodowej. Naród Polski jest chory i to w samym rdzeniu swej istoty. Na czym ta choroba polega? Odpowiedź może być tylko jedna: wejście do podstaw polskiego charakteru narodowego zasad, które oznaczają stoczenie się na manowce i oddalenie się od dzieła budowania kultury. Gdy zechcemy te zasady określić, rozpoczyna się niemały kłopot, albowiem zasady te uważane są powszechnie za najwyższe wartości, za wyraz doskonałości polskiego etosu. Na tym właśnie polega nasz dramat. Skoro pewne upadkowe i rozkładające moc życiowa narodu zasady, uważa się za „dobro", „doskonałość" i tytuł do chluby, trudno zdobyć uznanie dla dzieła krytyki tych zasad, a tym samym i znaleźć drogi wyjścia z dziejowego impasu.

Ażeby określić treść tych upadkowych zasad, które są źródłem naszego niżu cywilizacyjnego, musimy zastanowić się nad tak z pozoru prostym zagadnieniem: co to jest człowiek, humanizm i kultura?

Człowiek tym się różni od reszty gatunków żyjących, że posiada zdolność tworzenia, przedziwną zdolność wiązania chaosu żywiołów w sobie i w przyrodzie w taki kształt, że uzyskuje narzędzia do dalszej, potężniejszej twórczości. Od kamienia łupanego do bomby atomowej droga niemała. Od prymitywu duchowego jaskiniowca do nakazów ofiarnego patriotyzmu i entuzjazmu pracy w zespołach wytwórczych też skok pokaźny. A wszak czujemy, że to dopiero początek dzieła ludzkiego. **Otóż ta potężniejąca ciągłość wiązania energii pola żywiołów duchowych i materialnych jest kulturą.** Jasną więc rzeczą, że rozwijać się ona może tylko w atmosferze doznania jej, jako absolutnego posłannictwa człowieka. Z drugiej zaś strony absolutne posłannictwo człowieka przebiegać może tylko w wymiernym, dostępnym nam świecie, co razem wprowadza nas na arenę historii. Kultura jest do pomyślenia tylko na tle historii.

Dążyć do czegoś znaczy tym samym pragnąć skutecznych środków. Tak się rodzi kategoria, którą możemy nazwać: **wolą instrumentalną.** Jej wykładnikiem jest pragnienie władania, działania i głód wiedzy. W tych słowach mieszczą się wysiłki dziesiątków pokoleń, wielkie systemy filozoficzne, polityczne itd.

Dla bardzo wielu ludzi te treści są nie do przyjęcia. W pierwszym rzędzie są kwestionowane zasady woli instrumentalnej. Kult działania? rozkosz życia w wytężonym i skutecznym czynie? Nie! — bliższe są zasady wręcz przeciwne: niedziałanie, spokój, odprężenie, kontemplacja! Podobnie z głodem wiedzy: zapytają, poco łaknąć wiedzy, umiejętności, skoro szczęście polega na harmonii wewnętrznej, którą daje spokój?

Toż samo z pędem władania. Władać środkami, narzędziami, aparatem techniki, organizacją znaczy to — działać, gonić za wielkimi celami, czyli gubić swoje „ja" w obłędnej pogoni za czymś zewnętrznym. Słowem — wola instrumentalna jest odrzucona, jako coś wrogiego. Odrzucając wolę instrumentalną negujemy ważność historii dla naszego człowieczeństwa, dla naszego „ja". Oponenci działania historycznego stwierdzają, że człowiek może być szczęśliwym, niezależnie od tego czy bierze udział w wielkich procesach dziejowych, czy też gdzieś sobie na uboczu wegetuje. Nie jest ważne, czy dokonaliśmy wkładu w budowanie historycznego dzieła. Formułuje to znane hasło: „szczęśliwe narody nie mają historii". Im mniej się dzieje, tym lepiej dla szczęścia jednostki. Jest to zasada, którą określić możemy: wolą życia bez historii. Tym samym niemożliwym się staje doznanie dzieła tworzenia jako absolutnego posłannictwa. Zamiast tego słyszy się hasło absolutnej wolności od wszelkiego dzieła, gdyż hasło to przeszkadza wyłącznemu trwaniu i wegetowaniu. Idąc tą drogą dochodzimy do zupełnie innego określenia kultury. W tym ujęciu oznacza ona zespół warunków, które paraliżują siły godzące w człowieka, wymagającego od życia spokoju, ciszy, dobrego trawienia, odprężenia i absolutnej wolności od wszystkiego. „Kulturą" jest tu to wszystko co temu sprzyja, barbarzyństwem to, co ów idyliczny świat burzy.

A więc dwa wręcz przeciwne sobie światopoglądy. Ten drugi ahistoryczny jest bardziej wykończony, dialektycznie doskonalszy, gdyż zasady jego są niezmienne, niezależnie od czasu i miejsca. Który z tych dwóch światopoglądów tkwi u podstaw czucia i myślenia szerokich mas narodu polskiego i jego przodowników?

Niech czytelnik prześwietli oczyma wyobraźni kręgi polskiego życia: rodzinę polską, ton moralny literatury, wzory doskonałego żywota, sposób myślenia chłopa, robotnika, inteligenta. Ukaże się niepokojąca prawda, że wyjąwszy dość liczne wyjątki, głównej masie narodu jest bliższe to drugie, upadkowe, starcze doznawanie istoty sensu życia. Możemy więc określić podstawowe treści polskiego charakteru narodowego. **Pierwszą** zasadą będzie poczucie nieważności dzieła, dochodzące wprost do jego wzgardy. Masy narodu polskiego nie przeżywają pasji dzieła, które rozpłomieniałoby ich codzienne postępowanie. Od wieków w Polsce nie ma palących zainteresowań, związanych z jakimś konstruktywnym dążeniem. Nie należy tu mieszać kategorii przeciwstawiania się czemuś, gdyż podstawą tego odruchu jest właśnie wola oporu wobec jakiegoś dzieła ocenianego, jako obce i wrogie. Wystarczy sobie uprzytomnić atmosferę lekceważenia i poczucia wyższości wobec np. piatiletek sowieckich tuż przed wrześniem 1939 r. **Druga** zasada wynika z pierwszej, jest nią: kult „wolnej od wszystkiego" jednostki. Człowiek wyrwany z historii i ciągłości dziejowego dążenia, jakiś „nagi konkret trawiący" — oto ośrodek ważności. Stąd to fenomen kalekiego „humanizmu", odczucie biernej solidarności z tymi wszystkimi, którzy cierpią. (Niestety! ahistoryczne trwanie zawsze jest niewymownie smutne i bolesne). Jedynym terenem działania pozostaje „grzebanie" w skomplikowanej duszy niepotrzebnego światu „indywidualisty".

Razem więc mamy cztery zasady, stanowiące zrąb polskiego charakteru zbiorowego: są nimi: a) **wzgarda dzieła,** b) **kult odosobnionej jednostki,** c) **bierna solidarność z wszystkimi nieszczęśliwcami** i d) **kontemplacyjny, oderwany od życia moralizm.**

Czy możemy się dziwić, że społeczeństwo żyjące tymi zasadami, musiało w ciągu kilku pokoleń znaleźć się na tyle pochodu Europy? Jako coś bardzo prawidłowego musiały wystąpić objawy martwoty życia duchowego, zanik prądów ideowych i politycznych, oraz uwiąd ruchów społecznych. Tak było w epoce saskiej i w ciągu dwudziestu lat niepodległości, kiedy to poważniejsze wydawnictwa naukowe, teoretyczne, ideowe z powodu zmniejszenia się ilości odbiorców stale podupadały, a różne inicjatywy nie mogły się rozwinąć wobec oporów ogólnej fali.

Nie jesteśmy jednak pesymistami. Uświadamiamy już sobie źródła choroby, co znaczy bardzo wiele. Znając je możemy myśleć o dziele odnowy podstaw kultury polskiej. Zasadom upadku możemy się przeciwstawić. I tak: starczemu sceptycyzmowi, brakowi wiary w sens wytężonego życia przeciwstawimy ideę tworzenia, ideę absolutnej ważności dzieła. Kult odosobnionej jednostki ustąpić musi przed zasadą: „moje „ja" to moje dzieło!". Cierpiętnicza, bierna solidarność „nieszczęśliwych" będzie wyparta przez ducha braterstwa broni, który nakazuje czynnie wydźwignąć człowieka z upadku ahistorycznego, chybionego żywota. I w końcu zamiast kontemplacyjnego moralizmu wprowadzamy zasadę pragmatycznego czynu, mającego solidne oparcie w woli instrumentalnej. To jest największa rewolucja, jakiej nasze pokolenie dokonać może i musi.

*Stefan Durmaj*

## EPITAPHIUM

**Stygniecie w posągi cierpień**
**cisi giermkowie historii;**
**rzeźbi was dłuto salw wroga**
**bez blasku i nimbu glorii.**

**Kamienny chodnik jest bliższy,**
**niż sarkofagi i płyty;**
**i tylko trzask karabinów**
**salutem głośnym was wita.**

**Wykuci z prawdy jak z bronzu,**
**znaczeni stygmatem bólu,**
**padacie w otchłań epoki**
**otwartej morderczą kulą.**

**1943**

*Adam Grzymała-Siedlecki*

# „DROGA NA PAWIAK“

*Fragment z pamiętników więziennych pt. „Stojedenaście dni letargu“*

Bez cienia rozmyślań o jakimkolwiek niebezpieczeństwie, po kilkunastu godzinach męczącej lataniny w dn. 10. 11. 1942 r. ułożyłem się na spoczynek. Zasnąłem szybko. Po niejakim czasie, mimo, że sen miewam zazwyczaj głęboki, obudziło mnie dzwonienie. Dzwonek w nocy — to już wiadomo! Pospiesznie odziewam się, bo z poprzedniego najścia wiedziałem jak gestapowców rozjusza czekanie za drzwiami; szybko podążam do przedpokoju, w drodze uzupełniając szkic tualety, otwieram drzwi z łańcucha — i ledwo tylko zdołałem usunąć zatrzask, już czuję, jak kilkoro ramion napiera na drzwi, raptowne wtargnięcie i latarka elektryczna oślepia mi oczy, a lufy trzech karabinów automatycznych skierowane wprost we mnie: inscenizacja godna aktu zdobywania bunkra. Ktoś chorobliwie zdenerwowany, bezpowodnie krzyczący zapytuje mnie o moje nazwisko, a wszystko razem trwa nie dłużej jak jakie 10 — 15 sekund, poczym w asyście, — pontyfikalnie, można by powiedzieć — zostaję z powrotem wprowadzony do swego pokoju.

„Atak“ prowadzi podoficer S. S., stosunkowo dość normalny psychicznie, co nie częste w tej dykasterii. Za nim w kupie trzech żołnierzy uzbrojonych po zęby — i jakiś człeko-zwierz, jak się okazuje: tłumacz i najprawdopodobniej Volksdeutscher, biegle po polsku mówiący. Tupot buciorów żołnierskich, nieustanny wrzask tłumacza, ciężki chrzęst broni — budzą nie tylko właścicielkę mieszkania panią Podoską i innych lokatorów, ale zapewne i cały dom.

Histeryczna wrzaskliwość przybyszów i suma hałasu jaki czynią, oznacza się taką jaskrawością i taką zbędnością, że choć mi w tej sytuacji daleko do bezinteresownych rozmyślań, nie mogę nie porównać tej iście murzyńskiej metody z najściami carsko-rosyjskich żandarmów.

Za swych młodych lat przeszedłem aresztowanie i potem więzienie (krótkie zresztą) w t. zw. X pawilonie cytadeli warszawskiej. Pamiętam dobrze sposoby i zwyczaje **ochrany**. Tak samo nachodzili nocą, tak samo w towarzystwie uzbrojonych żołnierzy; tylko że uzbrojenie było nie tak groteskowe, rewolwer w ręce i koniec. Mieli może tyle poczucia śmieszności, żeby do jednego człowieka, domniemanie bezbronnego, nie przystępować tak, jak się idzie w boju na pluton piechoty; — może też i nie tak byli tchórzliwi. — Gdy gestapowcom jakby usilnie zależy na tym, by cała kamienica wiedziała o ich przybyciu, — tamci starali się czynność swoją załatwić jaknajciszej, jak najdyskretniej, — można by nawet powiedzieć, że zgrywali się w tym kierunku. — Żandarmeria carska fortiter bezwzględna **in re**, — przy takich najściach starała się być jak najbardziej **jewropiejską** in modo. Gestapo krzyczy, tupie nogami, komenderuje jak w koszarach, maltretuje. Różnica z wielu zapewne źródeł wypływająca; jedno z ważniejszych zaś: **ochrana** była instytucją o dawnych tradycjach, nieco zblazowana swoją praktyką, — Gestapo natomiast we wszystkim — nie wyłączając okrucieństwa — upaja się świeżością swojego istnienia — i do niepamięci w sobie zakochane. Tokuje.

Rozpoczyna się urzędowanie. Prezydujący podoficer rzuca się do sekretery z chciwym pośpiechem, jakby nieomylnie upewniony, że tu znajdzie dowody przestępstwa. Notoryczna oczywistość, że nie znajdzie, nadaje jego czynności znamiona dziwnie przypominające głupiego Augusta — i to mnie uporczywie prześladuje. Tłumacz zaczyna mnie badać.

W przedpokoju, w pociemku nie mogłem mu się przyjrzeć dostatecznie, teraz go mam przed sobą — i dreszcz obrzydzenia przeszywa mnie wskroś. Gdzie, w jakich ściekach moralnych, a może i dosłownie znaleźli oni podobną kwintesencję plugastwa? Niska pokraka o kabłąkowatych nogach z przydługimi, t. zw. złodziejskimi rękami, zgarbiony, a może nawet o jednej łopatce wyższej, w marynarce zachlapanej wszystkimi sosami szantażowanych barów i podmiejskich mordowni, w niemożliwie brudnym kołnierzyku, na sowim nosie staroświeckie binokle, przez które patrzy jakimiś przedziwnymi krzywymi liniami, a na gębie wypisane wszystkie siedem grzechów głównych. Jest pijany, zatacza się, gdy chce przejść dwa kroki, a poprzez onieprzytomnienie przebija się łajdactwo ostatniej klasy. Rozbiegane na wsze strony oczy kuny szukają, gdzie by tu dało się **ukraść** jakieś obwinienie, jakiś **corpus delicti**. Czuje się, w jaki szał radości wpadł by po znalezieniu czegoś obciążającego. Kanalia jakby predystynowana do swej roli „łapacza“, agenta tajnej policji, figury, świadomej swojego wyrzucenia poza nawias społeczeństwa — i psychicznie zagospodarowana w tej swojej randze wyrzutka. Dopracował się w sobie do jakiejś wisielczej a nikczemnej jowialności, podszytej zimnym okrucieństwem i oślizgłością gada.

Jest tak zalany, że z trudem rozumie odpowiedzi, jakie daję na jego zapytania. — „Czy pan jest gospodarzem tego mieszkania?“ — „Nie, właścicielka tego lokalu jest pani Jadwiga Podoska, ja zaś zajmuję tylko ten pokój“ — wyjaśniam z pewnym naciskiem, by zmniejszyć szanse rewidowania całego mieszkania. — „Aha, — stwierdza opój: — więc pan jesteś właścicielem całego mieszkania, a jeden z pokojów odnajmuje od pana pani Jadwiga Podoska, bene“. Muszę na nowo kłaść mu w głowę, jak się rzecz ma. Zmęczony ciągłymi nieporozumieniami, w pewnym momencie z irytacji nic kalibanowi nie odpowiedziałem. Okazało się to doskonałą metodą. Quasimodo gestapowy nie zauważa, że pytał napróżno i plecie dalej, a cały czas w nerwowym podnieceniu biega od biurka do półek z książkami, — od książek do paki z rękopisami, stamtąd do komody — i co tylko gdzie znajdzie, wyrzuca na podłogę przekonany, że się zaznajamia z treścią papierów i tomów. Po pół godzinie podłogę na grubość kilku centymetrów umościły manuskrypty, korespondencja i powydzierane z książek kartki. Pokraka depce swoimi racicami drogie mi pamiątki, fotografie, dokumenty, autografy sławnych ludzi, które przez tyle lat zbierałem.

Zatacza się i bredzi, a jednak szpiclowski węch działa w kanalii automatycznie: w miotaniu się po pokoju dostrzegł ryzę papieru kopiowego na maszynę do pisania, który to papier istotnie nie powinien był u mnie przebywać — poprzez opary alkoholowe natychmiast w jego mózgu roziskrza się pytanie: „na co panu tyle papieru maszynowego?“. Nie przeoczył, że to coś podejrzanego. Na szczęście zapomniał, o co zapytał. Z maniackim natomiast uporem czepia się innego tematu: „gdzie pan przechowuje broń?“ — Nigdzie nie przechowuję, bo broni nie mam“. — „A dlaczego pan nie ma?“ — bełkoce. I co chwila wraca do tego pytania. — Widzę, że gadowi



BRONISŁAW JAMONTT — PRZED BURZĄ — PEJZAŻ

jakoś wyjątkowo zależy na tym, by u mnie znaleźć rewolwer, — więc go bacznie śledzę, czy nie podrzuca gdzieś browninga.

A równocześnie i nie bez zdenerwowania śledzę czynności milczącego podoficera. W przeciwieństwie do niepoczytalnego tłumacza przeprowadza rewizję powoli, metodycznie, cierpliwie, szuflada za szufladą, pudełko za pudełkiem. Skończył z sekreterą — i skończył się mój spokój: o sekreterę byłem spokojny, że w niej nic nie znajdzie... Ale teraz zabiera się do paki, gdzie przechowuję szpargały, później zaczyna przetrząsać książki. Przestał mi być już głupim Augustem. Bardzo mi nie do wspomnień było, gdy się zanurzył w bibliotece, bardzo nie do bezinteresownych rozmyślań, — a jednak, no i nie bez powodu, z mózgu wynurzyło mi się wspomnienie pewnej dziecinnej gry towarzyskiej: „zimno, zimno, cieplej, gorąco, parzy" — znacie tę zabawę? Tak samo „ciepło", „jeszcze cieplej" odczuwałem w całym sobie, gdy ten ponury gestapowiec zbliżał się do możliwego znalezienia czegoś, na czym mi kaducznie zależało, by nie znalazł. — Schowane dobrze, w wymyślnym miejscu biblioteki, ale ostatecznie nie gdzieindziej tylko w kątach, które tak starannie przeszukuje ten gorliwiec. — „Zimno" — oddycham, bo odszedł od niebezpiecznego punktu — „ciepło", serce zaczyna mi bić niespokojnie, bo z powrotem przybliżył się do krytycznego miejsca. I powtarza się to kilkakrotnie, a kwadrans za kwadransem upływa — czy nie z półtorej już godziny trwa to wszystko? Nareszcie z twarzą człowieka zawiedzionego w swych błogich nadziejach pan podoficer oświadcza: „genug". — Znudzeni żołnierze zrywają się na nogi. — „Pan z nami" — powiadamia mnie pijana kuna gestapowa, z apetytem zacierając ręce. Wychodzimy z mojego pokoju; jeden żołnierz i tłumacz przede mną, dwaj pozostali żołnierze i podoficer za mną. Wyobrażam sobie, że z jakiejś idealnie neutralnej wysokości — całość pochodu musiała wyglądać niewypowiedzianie humorystycznie.

Słyszę za sobą trzask zamykanych na klucz drzwi — i podoficer zabiera klucz ze sobą. — „Aha, jutro przyjdą odbyć dokładniejszą rewizję; „zimno czy... gorąco?" Jutro mogą znaleźć... będzie wówczas naprawdę gorąco. Ale nic już na to nie poradzę. Taka świadomość ogromnie ułatwia sytuację.

Droga na schody przez living-room, koło pokoju pani Podoskiej. Przez uchylone od niej drzwi mam sposobność przesłać jej pożegnanie. „Dowidzenia!!" — odpowiada mi głos nabrzmiały najgorętszym współczuciem. Ostatnie słowa zasłyszane na wolności. Spoczywały mi one w sercu przez cały czas więzienny.

Od początku najścia miałem pewność, że wizyta skończy się aresztowaniem i zawiezieniem na Pawiak, więc komendę do zabierania się przyjąłem bez większego wrażenia; czułem tylko silne wyczerpanie po przerwanym śnie, po dreszczu nerwowym, jaki wywołało wtargnięcie bandy i wreszcie ta rewizja z ciągłą niepewnością co do jej wyniku.

Jesteśmy już na ulicy, przed domem. Noc nie zimna, ale t. zw. „świeża" z „suchym chłodem". Czyste powietrze przestrzennego przedmieścia (kraniec ul. Madalińskiego) orzeźwia mnie dobroczynnie. Automobil czekał przed bramką ogrodową; otwierają się drzwiczki i wtedy dopiero powstaje we mnie **ostatnia kreska** rozeznania: „więc od tej chwili przestaję korzystać z wolności". Z tej względnej okupacyjnej wolności; — ileż razy miałem ją za równą niewoli, — teraz wciskając się do wnętrza samochodu, oceniam, ile w niej jednak było elementów swobody....

Na jak długo tracę wolność? Pomocne przeświadczenie, że wszelkie na ten temat domysły są i pozostaną jałowymi, pozwala mi przestać o tym myśleć. Teraz tylko jedno pragnienie: jaknajprędzej zakończyć fazę wstępną, jaknajrychlej znaleźć się na Pawiaku. Z przeżyć więziennych sprzed 45 lat (Cytadela, X. pawilon) wiem, jakie martwe bo martwe, ale **ustabilizowanie** psychiczne następuje po... zamknięciu. Ustabilizowanie niedoli, ale i to lepsze od prowizorium. Bodaj, że to jeden ze skośnych refleksów instynktu osiadłości. No i może to, że człowiek łatwiej znosi **określone** zło, od nieokreślonego niewiadomego.

Nie stało się zadość moim życzeniom. Okazało się, że panowie z Gestapo wizytą u mnie dopiero zaczęli swój dzień, czy noc pracy. Odrobić jeszcze mają dwa miejsca. Ładna perspektywa! Jeśli wszędzie „zabawią" tyle czasu, co u mnie, to w gościnne progi Pawiaka wkroczę nie wcześniej, jak po świcie. — Pierwsze „halt" zabrzmiało o ćwierć kilometra od mojego mieszkania, na ulicy Kieleckiej, między Narbutta a Rakowiecką. Wysiadł cały oddział szturmowy z brzęczącym tłumaczem; ze mną został tylko szofer SS-Man. Zadzwonili do bramy, po kilku minutach dozorca otworzył im drzwi, — uzbrojona czereda wtargnęła na schody, — tu na ulicy słychać, jak butami wala o stopnie. Jeszcze kilka minut — i na pierwszym piętrze, po lewej stronie od schodów okna mieszkania zabłyskują światłem elektrycznym.

To najnormalniejsze zjawisko: rozświetlanie się mieszkania w głuchej ciszy uśpionego miasta, w mroku pełnej nocy no i w nastroju moich nerwów stało się czymś niemal urzekającym. Jakby dojmująco nagłe rozsunięcie się kurtyny nad sceną, na której zaczyna się rozgrywać dramat. Jeden z iluż setek tysięcy, jeśli nie miliona dramatów w życiu polskim z lat 1939—1945! — dramatów, czekających na swego Grottgera, może swojego Szekspira. Treść widowiska da się opowiedzieć w kilku zdaniach, a opowiadać ich nie trzeba, — bo czyż jest jedna w narodzie naszym rodzina, któraby tego spektaklu jaknajboleśniej nie odbyła? Staram się oderwać oczy od rozświetlonego mieszkania na pierwszym piętrze — i nie mogę. Nawet poprzez przymknięte powieki widzi się wszystko, co się tam teraz dzieje: widzi się twarze kobiet, mocujących się ze swym przerażeniem, by wrogowi nie okazać słabości, — widzi się ojca, męża czy brata, którego za chwilę wyprowadzą, a przez mózg pozostałych przelatuje rozpaczliwe pytanie: „czy stanie się ten cud, że go jeszcze kiedy ujrzymy". Statystyka okupacyjna wykazuje jak na dłoni, że powroty uwięzionych są zaprawdę wydarzeniem wyjątkowym.

Pobyt zgrai gestapowej na pierwszym piętrze tego domu nie trwał długo. Po jakichś 15 minutach zjawiają się z powrotem — i sami. Nie zastali poszukiwanego. Ani go znam, ani wiem, kto on, a jednak uczuwam ulgę, że zdołał ujść nieszczęściu. Jedziemy dalej, — za kościół św. Jakóba, na ulicę Kaliską. Odrapana, zaniedbana kamienica, wypełniona niewątpliwie ludnością niezamożną. Powtarza się **modus procedensi** dostawania się gestapowców do wnętrza domu, — tylko żadne z mieszkań frontowych nie rozświetla się tutaj; operują widocznie w oficynach. — Zostaję znowu z szoferującym SS-Manem — i tu następuje jakby komiczna wkładka w dramatyczną akcję:

Już tam, na Kieleckiej, zauważyłem, że gdy zostaliśmy sami, dzielny SS-Mann czegoś niepokoi się. To zdenerwowanie dziwnie nie licowało z atletyczną jego budową, z kondygnacjami muskułów, z potężnymi barami. A jednak nie ma wątpliwości, że ten wielkolud czegoś się boi. Czy samotność go przeraża? Czy jakaś neurastenia? — obawa ciemności? Mam go przed sobą w automobilu — i widzę, jak się kręci niespokojnie, jak raz po raz obraca się ku mnie. — Czy czegoś szuka? Przez cały czas jazdy spokojny, — tutaj, na Kaliskiej, natychmiast po zniknięciu zbrojnej szajki towarzyszów, wpada znowu w niepokój. W pewnej chwili, jakby po wywalczeniu w sobie decyzji, zerwał się — i stanowczym ruchem wyrwał mi z ręki grubą laskę wiśniową, którą wziąłem ze sobą. Wszystko się wyjaśniło: to ta laska tak niepokoiła walecznego teutona! Nie mógł znieść myśli, że może z tym kijem pokuszę się o zamach na niego. Późniejsze moje doświadczenia przekonały mnie o nieprawdopodobnej tchórzliwości tych okrutników z Gestapo — wówczas, na ul. Kaliskiej zetknięcie się z „niemęskim" objawem strachu było dla mnie taką nowością, że zacząłem się serdecznie śmiać. W położeniu, w jakim się znajdowałem, okazja do śmiechu, to bezcenny dar — zachowałem więc wdzięczność dla tego tchórza, dopóki nie spotkaliśmy się — po trzech miesiącach — w innych, nawskroś innych okolicznościach! O tym później.

Tak to, dzięki nieoczekiwanemu **divertissement**, w pogodniejszym już usposobieniu zbliżałem się ku ulicy Dzielnej, gdy nareszcie, po wszystkich policyjnych trudach, kompania siepaczów z aresztowanym młodym człowiekiem wsiadła do samochodu.

Nowa ofiara przepełniała już wnętrze wehikułu — posadzono go więc... na moich kolanach. Poprostu tak, jak się coś stawia na fotelu czy komodzie, na martwym przedmiocie wogóle. Rewizja odbywała się widocznie w jakichś nie monotonnych okolicznościach, bo szturmowcy — żołdacy, przedtym milczący, żywo interpretują teraz między sobą doznane wrażenia, a małpolud tłómacz w stronę aresztowanego kieruje jakieś plugawe dowcipy, dotyczące jego łoża małżeńskiego. Napewno teraz zalewająca się łzami żona tego młodego człowieka ani przypuszcza, że stała się tematem bydlęcych żartów Untermenschów. Siedzący mi na kolanach mąż jej wszystkimi siłami hamuje się, by nie narazić się na niechybną a marną śmierć, jakaby mu tu, w aucie, zadali, gdyby zechciał zareagować na doznaną zniewagę. A trzeba było słyszeć, jakim bezdennym chamstwem cuchnęły te dowcipy, a przy tym jakie wyuzdane naigrawanie się z bezbronności! — Czy można sobie wyobrazić inny jakiś — poza niemieckim — system policyjny, któryby funkcjonariuszom swoim pozwolił na podobne bezeceństwa w stosunku do aresztowanego? Poczwary z Alei Szucha wiedzą, że względem Polaka mogą krańcowo nadużyć swych przywilejów — i najmniejsza kara ich za to nie spotka.

Kretyn biegiem mijamy teraz bardziej znane ulice, po kilkunastu minutach zanurzamy się w kamienną pustynię, jaką niemcy uczynili z północnej części Warszawy, po wywiezieniu z niej żydów. Po wywiezieniu i wymordowaniu.

Jak daleko jeszcze na Pawiak? Warszawę znam od roku 1886 — i tak się złożyło, że nigdy nie miałem sposobności dobrnąć na ulicę Dzielną, tam, gdzie się mieści wjazd do tyle osławionego więzienia. — „Muszę się tam kiedyś wybrać, by ujrzeć ów gmach" — wielokrotnie sobie przez 56 lat obiecywałem. No i wybrałem się...

*Adam Grzymała-Siedlecki*

*Alfred Kowalkowski*

## MALBORK

Między tą chwilą a spojrzeniem
mogą trwać wieki i niebiosa.
Jak śmierć jest Malbork, jak kamienie,
którymi w sierpniu płonie szosa,
gdy tysiąc bosych więźniów wiodą.

Jeden z tysiąca, bez nazwiska,
tu nad Nogatu czarną wodą,
w pięć lat po twoim pierwszym zgonie
padłeś z pragnienia. Obce tonie
skuła iak ty toczyła Wisła.

I to nie głód, nie wystrzał nagły,
ani bez dna — jak piach ten — praca,
lecz kilka kropel chłodnej wody;
choć już na twojej twarzy smagłej,
gdy się ku chmurom martwo zwraca,
rozbłyska odblask burzy młodej.

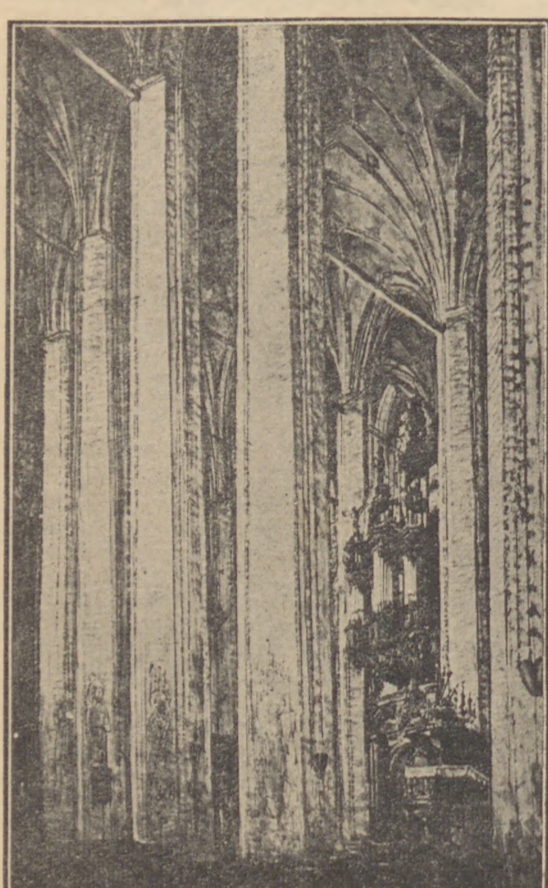
I ponad zgonem, ponad życiem
błyskawic gra — daleka bitwa.
Ta chwila wszystkim jest i niczym.
mierzy się tylko serca bicie,
a serce w wichrach musi wytrwać.

Malborski zamek, skała cienia
rosnąca w niebo po nienawiść,
poprzez obłoki burzą krwawi.
W grzmotach nad tobą się spłomienia
czerwony czas ostatniej sprawy.

Znów suną szosą bose stopy,
polem pszenicy, żniw i maków,
i burza wstaje nad Europą,
i w oczach wroga strach spotrzegam,
gdy stuk drewnianych mych chodaków
odlicza chwile te jak zegar.

1944.

LEON WYCZÓŁKOWSKI LITOGRAFIA
WNĘTRZE KOŚCIOŁA N. M. P. W TORUNIU



## Z WIERSZY GOTYCKICH

Kiedy mi w oczy patrzycie — szukacie nazwy dla śmierci.
Lecz trwam i walczę, by świat kwitnący o świcie
stał się sercem ognistym z najżywszego srebra;
aby mógł niewidomy żebrak w nim przejrzeć na zawsze
i aby wilki, od ludzi łaskawsze, tu przynosiły
dzieci zbłąkane, wydarte matkom umarłym,
i ogrzewały je w słońcu ziemi, rozpostartym
jak chorągiew pokoju na wsie i mogiły.
Dlatego jestem, bo wierzę w strzelistość słowa,
lżejszego niż ślad cyranek w powietrzu, lub wieże
odlatujące na skrzydłach w średniowieczny poranek.
I ufam, że dłonią dźwignę miasta z najcięższych murów,
nim jeszcze się droga rozstąpi i lawa na placach zastygnie.
Wiem, że urasta z płomienia nowa kometa burząca,
ale przewyższy ją wiara w żar czujniejszego cienia
i z gruzów się wzbiją modlitwy większe od wszelkiej ciszy.
Za wami bohater ze skały, mocy i wodospadu,
co dzień wstający i co dzień ginący w przepaściach chwały.
I miecz opada i krwawi się scena wzniesiona dla duszy,
i wstają spod lawin fałszywi bogowie i prometeusze.
A oto wyżyna tonów, jak oddech niezmierna;
niech pieśń będzie wierna kształtowi błękitu i dzwonów:
zmagać się tylko miłością na gwieździe najwyższej serca
z dłonią otwartą na oścież jak kwiat i jak chwila zgonu.

## Z CHLEBEM CODZIENNYM

Twarze kamienne, twarze żelazne
poza myślami uwiędłe w biel,
przed wami rośnie głąb nieprzyjazna
rozdartych niebios — strzaskanych luster
i oddychacie skłębioną pustkę
w której snem nawet nie zadrży czas.

Oczy przyćmione jak krajobrazy
jesiennych nocy poddanych mgłom,
witane w drodze tylekroć razy
i już skazane na mrok rozstania
lżejszego jeszcze od tchu konania,
pustszego niźli spalony dom.

Usta przekwitłe poza uśmiechem
w grymas mrożący dnie przyszłe w lód,
kiedyż wam cisza odpowie echem;
czyście się kiedy krzykiem rozwarły,
coby wywołał z ziemi umarłych
a żywych dalej niż życie wiódł!

Dłonie drapieżne w skurczu zakrzepłe,
jakże wam objąć wschodzący świat
i go nie zburzyć, lecz czujnym ciepłem
ogrzać jak pisklę gniazdu wydarte,
i jak dotknąwszy czyjejś otwartej
na uścisk dłoni — poznać: to brat...

Dusze niczyje — to tylko wasze,
co właśnie mija: ucichły ton;
żyjecie jeszcze w obrocie maszyn,
lecz jak idący po cudzym grobie
zwrócą się nagle słowem ku sobie
i jak przewyższą swój własny zgon!

Po nowej ziemi z chlebem codziennym
chodzę i szukam oczu i dusz,
leczących dłoni i ust niezmiennych.
Czas mój oddechem wzrasta nieziemskim
a ja wykuty w płomieniu klęski
buduję wiosny z widomych zórz.

*Stanisław Helsztyński*

# SCHINESGHE, GRÓD TRIGLAWA

Kiedy przed kilku miesiącami udawałem się za Odrę, do Szczecina, wybrałem drogę przez Noteć i Perzyce, taką samą, jaką Bolesław Krzywousty wyznaczył w roku 1124 dla swego przedstawiciela Ottona z Bambergi, wysyłając go na głoszenie wiary chrześcijańskiej wśród mieszkańców pogańskiego jeszcze wówczas miasta, czcicieli Triglawa. Nie towarzyszył mnie i moim towarzyszom ani kasztelan Pawlik, ani kapelan Wojciech, ani tłumacze i bogata świta, ani męska wspaniała drużyna, którą polski władca przydzielił słudze bożemu. Jechaliśmy prywatnie, kilku cywilów, zainteresowanych urokiem i stanem obecnym starożytnego grodu, stanowiącego przez wieki przedmiot zabiegów pierwszych naszych piastowskich królów.

Miasto Perzyce, w którym Otto z Bambergi dokonał pierwszych nawróceń, leży dziś tak gruntownie w gruzach, że jedzie się przez nie po stosach rumowisk. Lepiej jest w Starogardzie nad Iną, gdzie zachowały się prawie nietknięte dzielnice willowe i miasteczka okoliczne.

Pierwszy widok kościołów Szczecina, jego wież charakterystycznych i gmachów uderzył nas w oczy, gdyśmy stanęli w Starym Dębie na skrzyżowaniu autostrady z liniami kolei. Wzruszenie nasze wzrosło w tej chwili do najwyższego stopnia. Właśnie, gdyśmy stanęli na najwyższym wzgórzu, skąd rozlega się widok na miasto za Odrą, całe jezioro Dąb, jego odnogi, roztocze, strumienie wód ujętych w bulwary, stocznie i dźwigi, stanęło w blaskach zachodzącego słońca i zamieniło się w jeden daleki, wspaniale lśniący obszar płynnego złota. Drganie roztopionej, złocistej fali raziło oczy, przykuwając je swoim blaskiem i pięknością. Tak mogli oglądać Szczecin rycerze i kapłani, idący tutaj w 1124 r. na opanowanie miasta. Stąd zaprzyjaźniony z Krzywoustym książę pomorski, Warcisław, mógł okazywać Polakom swój najpiękniejszy, najbogatszy, handlowy, przez mądrych mieszkańców zaludniony gród. To słońce na jeziorze i Odrze, te skojarzenia historyczne, ten widok wież i gmachów z oddali stanowiły niezapomniane chwile.

Wobec zniszczenia wszystkich trzech mostów, prowadzących do Szczecina, musimy kierować się na południe do przejazdów pontonowych. Praca nad odbudowaniem pierwotnych przejazdów przez Odrę jest w pełnym toku. Pracują przy niej liczne setki robotników polskich, rekrutujących się spośród ludności naszej wywiezionej przez Niemców do Rzeszy. Gdy mosty będą ukończone, ludność ta będzie mogła zobaczyć swoje dawne siedziby. Obozowiska ich koczują na drogach, po przedmieściach, w domach i na ulicach Szczecina.

Środek miasta i jego przybrzeżne połacie ucierpiały mocno wskutek walk w ostatnich dniach kwietnia. Pierwszym odruchem naszych polskich serc było zobaczyć dawne grodziszcze szczecińskie, zamek książąt piastowskich, rezydencję Warcisławów, Bogusławów, Każków Szczecińskich. Niestety, budowla, przebudowana zresztą fatalnie przez Niemców, uległa zbombardowaniu i spaleniu. Dobrze jest jednak bodaj odetchnąć powietrzem tego zakątka, który stanowił siedlisko władców, należących do wielkiej dynastycznej rodziny nadgoplańskich, polańskich Piastów.

Wracając sprzed zamku, zatrzymujemy się na chwilę przed koszarową, dwupiętrową, szarą kamienicą z napisem w języku rosyjskim i niemieckim: „Tutaj, w tym domu, ujrzała światło dzienne dnia 2. 5. 1729 caryca Katarzyna Wielka". Wchodzimy do wnętrza — wielkie schody, szorstkie urządzenia szpitala wojskowego przytłaczają w świadomości naszej myśl, że tutaj, tak blisko triumfalnych poczynań Bolesławów i Krzywoustych, narodziła się ta, która położyła kres tworowi drugiej naszej dynastii, mniej szczęśliwej niźli Piastowie, dynastii Jagiellonów.

Właściwe oblicze Szczecina stanowi pobliska Hakenterasse z gmachem rejencji i muzeum miejskim, stojącym frontem do portu i jego urządzeń wodnych. Z drugiego piętra rejencji rozlega się szeroki widok na Alt-Damm czyli Stary Dąb i cały prawobrzeżny pas nadodrzański. Żurawie, dźwigi, unieruchomione berlinki, śpichrze i mosty składają się na imponującą panoramę. Błękitne smugi lasów zamykają horyzont. Odra, ujęta w kamienne ramy bulwarów, toczy się leniwie, czarna, milcząca, wijąca się ku morzu, stosunkowo nie szerokim korytem: 40 km dzieli jej tutejsze brzegi od Bałtyku.

Drugim centralnym punktem stolicy Pomorza Zachodniego jest starostwo krajowe, wielki, nowoczesny gmach w północno-zachodniej dzielnicy, również niezniszczony. Od wybrzeża prowadzą do niego szerokie cieniste aleje. Zieleń Szczecina orzeźwia, raduje oko na każdym skwerze i każdej szerszej alei. Obfitość opadów i wilgoć sprzyja rozwojowi lip, grabów i wiązów. Ogrody w kwaterach mieszkaniowych pełne są jabłoni, grusz i śliw. Ponieważ jest maj, rezerwaty tych ogrodów tona w powodzi białych i różowych kwiatów. Woń jaśminów, a jeszcze powszechniej bzów ściga przechodnia swym rozfalowanym oddechem, dając wytchnienie płucom i rozkosz oczom.

Któregoś dnia wybraliśmy się na Quistorp Aue, dzielnicę will i pałacyków bogaczy szczecińskich. Górzysty teren nadaje zakątkowi temu wielką malowniczość. W głębi połyskuje jezioro. Dokoła na zboczach pasą się konie i krowy. Małe źrebięta leżą rozkosznie na słońcu i w trawie. Żołnierze rosyjscy kąpią się w chłodnej wodzie, wypoczywają po walkach i spacerują po alejach.

Wstąpiliśmy do wnętrza paru will. Drogocenne meble, lustra, pościel, bielizna rozrzucona, dzieła sztuki, Bechsteiny świadczą o wielkiej zamożności miasta. W przeciwieństwie do Piły, miasta kresowego, nastawionego do walki przeciw Polsce, pełnej księgozbiorów publicznych i prywatnych, nie widać po mieszkaniach szczecińskich większego bogactwa książek. Meble i jeszcze raz meble, dobrze zaopatrzona kuchnia, nadmiar porcelany i utensyliów gastronomicznych, świadczą o materializmie, wygodzie i sybarytyzmie Szczeciniaków. Pytam na ten temat kolegę, którego interesowały problemy naukowe i kulturalne. Potwierdza moje spostrzeżenia: ludzie bogaci, wygodniccy, ale bez zainteresowań artystycznych i naukowych. Żadnej wyższej właściwej uczelni. Biblioteka miejska zaopatrzona nieszczególnie, wyjąwszy dział książek zakazanych przez partię hitlerowską. Towarzystwo Historyczne na Krakutschstr. ubogie, muzeum krajowe bardzo przeciętne. Morze i handel morski zaprzątało tych ludzi. Ono dawało im bogactwo. Starczy zaglądnąć do tych pamiątek z podróży, wyjazdów do kurortów krajowych i zagranicznych, albumów zawierających widokówki z pieczęciami wszystkich części świata. Tylko oznaki hitlerowskie, ordery i porzucone mundury partii liczebnością swoją przewyższają tamte, dawniejsze trofea Szczecinian.

Nieład, w jakim porzucono mieszkania, świadczy o popłochu mieszkańców uciekających z miasta. Resztki ich, ludzie starzy, ułomni, nieco małych dzieci, snują się po ulicach. Z oczyma spuszczonymi w dół, milczący, transportują swoją chudobę z śródmieścia do dzielnicy północnej, którą władze okupacyjne przeznaczyły im na ghetto. Ci, którzy zawojowawszy Europę, usunęli jej mieszkańców lub odosobnili ich w specjalnych dzielnicach, sami podlegają temu losowi. Obcą jest sercu litość, chociaż widzi się tę ich wędrówkę żałosną z luksusowych dzielnic do przedmieścia. Niech jedzą gorzki chleb, którego napiekli dla innych. Przez miasto ciągną tysiące jeńców, ciągną w milczeniu, często bez butów i spodni. Oficerowie pchają po kilku wózki z rzeczami. Ze 20 generałów widziałem osobno w ciężarówce, wiozącej ich na prawy brzeg rzeki. Siedzieli rzędami na krzesłach, rozpamiętując sromotną porażkę.

Miasto liczące niegdyś 300.000 stopniało dzisiaj podobno do 3.000 dusz. Więcej widzi się Polaków niż Niemców, zwłaszcza polskiego elementu przejściowego, wracającego z przymusowych robót do kraju. Handel oczywiście zamarł zupełnie, żadnych sklepów, żadnej wymiany towarów, żadnego obiegu pieniężnego. Wszystko świadczy o wielkim prowizorium, które trwać będzie do przesądzenia losu miasta przez konferencję pokojową. Marszałek Rokossowski ze swą zwycięską armią rozbił na razie tutaj swoje kwatery.

Wiele opowiadano o piękności tutejszego cmentarza miejskiego koło szosy, wiodącej do Pozdawiku — po niemiecku — Pasewalk. Wybraliśmy się tam, tymbardziej, że charakter leśno-ogrodowy tego zakątka musi w dobie wiosennego rozkwitu drzew i krzewów robić głębokie wrażenie. Nie zawiedliśmy się. Aleje lip, topoli, świerków, grzędy bukszpanów, zielone polany, urozmaicone taflami stojącej wody, działają kojąco na umysł widza. Całość jednak nie robi wrażenia grzebalnej ziemi. Pomniki giną w cieniu tuj, cisów i leszczyn. Wymiar ich i kształt jest znormalizowany, ujednostajniony do tego stopnia, że po przejściu kilku partyj ogrodu widz czuje się zupełnie znużonym. Zupełny brak oryginalnych, twórczych napisów pogłębia jeszcze bardziej tę pustkę. Jest to rozkoszne siedlisko ptaków, rewir zajęcy, których dużą liczbę podczas przemarszu wypłoszyliśmy, ale to nie normalny już cmentarz, na który przychodzi się utrzymywać kontakt ze zmarłymi, kontynuować zwykłe, proste świętych obcowanie z pacierza.

Jeszcze jedna uwaga. Dawni władcy Szczecina nie zawahali się użyć cmentarza dla celów wojskowych. W wielu punktach stoją do dzisiaj dwukolne podwozia i blaszane rury, imitujące lufy armat. Gorzej jeszcze: w krematorium, które widnieje za kaplicą, rozkładają się dotąd trupy, których nie zdążono spalić. Roje much obsiadają zwłoki mężczyzn i jedynej śród nich kobiety, obnażonej przez zwyrodniałego przechodnia.

Przez opustoszałe dzielnice miasta wracają zwolna wypłoszeni mieszkańcy, jedni z wyspy Rugii, drudzy z pobliskich powiatów Meklenburgii. Nikt z Niemców nie poważy się przekroczyć Odry na jej prawy brzeg. Niedostępne też, odgrodzone są granice portu. Miasto Szczecin jest na razie w swoich funkcjach morskich unieruchomione. Odra odpoczywa, płynie bez ciężarów

bark i statków ku swemu słowiańskiemu morzu, ona, słowiańska, polska Odra.

Za swoją, polańską uważał ją Mieszko I, potężny, przemyślny budowniczy państwa polskiego, wielokrotnie zaznaczający wolę utworzenia z Odry granicznej zachodniej ściany.

Nazwa Schinesghe, zachodząca w dokumencie „Dagome iudex", znajdującym się w kancelarii papieskiej w Rzymie i stanowiącym jedno z najważniejszych określeń granic Polski z okresu 992, dla przeciętnego Polaka znaczyć będzie zawsze: **Szczecin.**

Szedł w ślady tego wielkiego wojownika i męża stanu w jednej osobie zarówno Chrobry, jak i Krzywousty. O mądrości Krzywoustego świadczy fakt, że zmierzywszy się zwycięsko w spotkaniach orężnych z pogańskimi jeszcze wówczas władcami krainy pomorskiej i Szczecina, zapragnął nawiązać z nimi kontakt ściślejszy, duchowy, oparty na wspólnocie idei religijnej. Z tej myśli wyrosła wyprawa chrystianizacyjna z roku 1124.

Myśl o tej szlachetnej idei Krzywoustego nie opuszczała nas przez cały czas naszego pobytu w Schinesghe, grodzie Triglawa, w maju 1945 roku.

*Stanisław Helsztyński*

*Aleksander Dzienisiuk*

# GENIUSZ WSPÓŁCZUJĄCEGO SERCA

## O STEFANIE ŻEROMSKIM

### I.

Niewątpliwie Żeromski jest pisarzem o dużej skali literackiego talentu, głębokiej uczuciowości i ruchliwym intelekcie i zasługuje słusznie, by nawiązywać z nim częsty kontakt drogą wnikliwej, lecz zarazem swobodnej i niezależnej od konwenansów i przesądów interpretacji. W ustosunkowaniu się naszej krytyki do spuścizny literackiej autora „Walki z szatanem" uderza nas szczególne zjawisko, które zwłaszcza tutaj występuje kontrastowo i wyraźnie.

Mamy na myśli niejednolitą a nawet sprzeczną opinię świata intelektualnego, wśród którego pisarz ten cieszy się wyjątkową popularnością. W dwugłosie krytyki naszej, pełnym dysonansów i sprzeczności, przeważa raczej skłonność do tradycyjnego sentymentalizmu i gloryfikacji, niż zdolność rozluźniania starych form i nałogów myślowych, umożliwiających trzeźwą i bezstronną ocenę, nie cofającą się przed demaskowaniem zwietrzałych z biegiem czasu koncepcji. Egzegeza twórczości Żeromskiego, uderzająca natrętnie w ton panegiryzmu, jest rezultatem chronicznego (dziś jeszcze) defektu naszej krytyki literackiej, patrzącej na przeszłość pod kątem bezwzględnej świętości tradycji i przez to tkwiącej w więzach aksjomatów, zrośniętych nieodłącznie z twórczością danego autora i pod groźbą profanacji strzegących swej nienaruszalności.

Nie zamierzamy bynajmniej budzić tutaj pewnych insynuacji, mających na celu kompletną negację wielkich w swoim czasie zasług autora „Ludzi bezdomnych", gdyż niewątpliwie pisarz, który w swej twórczości zawarł w tak pięknym i barwnym języku prawdziwy patos bólu nad krzywdą bliźniego, który w swym programie narodowym dał cały szereg trzeźwych i trafnych spostrzeżeń i myśli oraz szczerze przeżywał problem społeczny i najwięcej spalał w tym kierunku swej inteligencji, był i pozostanie zawsze godnym pamięci i czci wśród swego narodu i walczącej o lepsze jutro ludzkości. Chcielibyśmy jedynie wykazać jednostronność sądu ahistorycznej krytyki, pragnącej dzieło i twórcę umieścić niejako ponad przestrzenią i czasem. Tym bardziej, że tego rodzaju krytyka niedawno właśnie święciła istny triumf w licznych kolumnach literackich zamieszczanych przez różne czasopisma z okazji 20-tej rocznicy śmierci Żeromskiego.

Nie możemy przecież, oddalając się od przeszłości w jej ekonomiczno-społecznych wymiarach, nie oddalić się jednocześnie od wielu myśli zrodzonych z jej łona, wypielęgnowanych w warunkach, w których miały pewien aktualny sens, dziś natomiast trącą anachronizmem lub też stanowią przykład metafizycznej bezradności i niemocy w dziedzinie zagadnień społecznych.

Dzieło naprawdę przerasta swego twórcę i żyje pełnią życia wśród nas wtedy, gdy potrafimy je ustrzec przed mumifikacją przesądów, przezwyciężyć wszelką sztywność myśli, usunąć jej skrzepy i pozwolić spojrzeć na nie surowym okiem współczesnej nam rzeczywistości. Wówczas dopiero przemówi ono do nas pełnym głosem nie tylko w zakresie swych pozytywnych wartości, ale nawet i błędów. Bezwzględna aprobata, wolna od wszelkich pretensji, staje się rozsadnikiem sentymentu, nie zaś zdrowej i budującej myśli. Pod jej anemicznym tchnieniem dzieło pokrywa się grubymi zmarszczkami starości i więdnie.

Z jakąż rozkoszą i satysfakcją sięga większość egzegetów Żeromskiego do intelektualnego panopticum i wydobywa z niego zakutą w dyby i pokrytą pleśnią myśl, by następnie wtłaczać ją przemocą w nowe życie. Bezceremonialnie i beztrosko snuje się przy tym mit o bezwzględnej, rozległej aktualności społecznej Żeromskiego, — o „długim szeregu bojowników wielkiej sprawy, rozumianych jak najszerzej (!), którzy rozpoczynają walkę, by kapitaliście i obszarnikowi przeciwstawić zorganizowany i zjednoczony świat pracy". Zapomina się przy tym o rzeczy najbardziej istotnej w naszej rzeczywistości powojennej, w której przyzwyczailiśmy się oceniać ludzi nie według ich zamierzeń, przeczuć i przewidzeń, lecz przede wszystkim według czynów.

### II.

Żeromski, przedstawiciel radykalnej inteligencji mieszczańskiej, tworzy w okresie wzmagającej się na gruncie polskim fermentacji tendencji narodowych i społecznych. Rzeczywistość, pełna zgrzytów i konfliktów, sprzyjała rozluźnieniu rygorów myśli i narastaniu uczuciowości. Postawa uczuciowa wobec życia to jedna z głównych nici, łącząca twórcę „Popiołów" z romantyzmem, która jego artystyczne i ideologiczne wpływy pozytywizmu unurzała głęboko w lirycznym subiektywiźmie. Twórczość Żeromskiego stanowi właśnie interesujący splot i wzajemne zazębianie się romantyczno-pozytywistycznych elementów, które jego silnym akcentom społecznym nadały idealistyczne brzmienie. W stosunku autora „Walki z szatanem" do otaczającej go rzeczywistości przejawia się tradycyjna postawa metafizycznego badacza, skierowującego cały swój wysiłek umysłowy w kierunku pogłębienia znajomości zjawisk życia i budującego swe poglądy na refleksjach, wzruszeniach i wierze, będących objawem oportunistycznej ucieczki rozumu przed wymagającą trudu i znoju prawdą eksperymentu. Ten swego rodzaju prymitywizm intelektualny, znamienny już dla pierwotnego światpoglądu człowieka przyswoiła sobie nasza sybarytystyczna kultura szlachecka, która na przestrzeni kilku wieków wpływała na psychikę narodu polskiego i sięgała do najgłębszych pokładów jego duszy. Żeromski, syn zamożnego niegdyś ziemianina, nie mógł naturalnie wobec tych wpływów pozostać obojętnym. Jego radykalizm społeczny, pomimo silnego tchnienia ówczesnej epoki, zdradza chwiejność i niezdecydowanie, brak konsekwencji i szlacheckie sympatie, właściwe mieszczańskiej inteligencji. Demokratyzm autora „Walki z szatanem", pociągnięty lukrem solidarystycznych złudzeń, stawał się lekkostrawnym nie tylko dla liberalnych sfer mieszczaństwa, ale nawet dla konserwatywnego odłamu społeczeństwa polskiego.

Istotnym i niepozbawionym pewnych pozytywnych wartości ideologicznym przedsięwzięciem Żeromskiego jest to, że śmiało i otwarcie demaskował on bezład socjalny, ukryty pod postacią życia zorganizowanego, — że tworzył wstrząsające obrazy krzywdy społecznej, prawdziwe zmory nędzy, degeneracji i upodlenia. Ukazał całą ohydę i gorycz życia ludzkiego niby stęchłe i bezdenne bagno, tonące w oparach brudu i błota. Jednakże przerażające wizje ludzkiego cierpienia i krzywdy, przytłoczone są balastem przewlekłych lirycznych rozważań, z których kapie wprost sentymentalizm, tkliwość i rzewność, gryzący smutek, współczucie i litość. Stanowią one olbrzymi rezerwuar lirycznego spazmu, z którego uczucie wylewa się gwałtowną falą, unosząc z sobą myśl trzeźwą i przenikliwą. Roznegliżowane z pasją życie ludzkie staje się w twórczości Żeromskiego nie środkiem a celem ideologicznego przedsięwzięcia, nie tylko punktem psychicznego i społecznego startu bohaterów, ale również źródłem ludzkiej niemocy i pesymizmu. Stąd właśnie zaczyna się wsączać w duszę Judymów jad, który zabija w nich zdolność czynu. W tych naturalistyczno-impresjonistycznych pejzażach, przetwarzających rzeczywistość ludzką na kolorową mozaikę wrażeń, najdotkliwiej daje się odczuć powiew modernizmu, który chociaż nie cofał się przed kompromitowaniem wartości, wytworzonych przez kulturę mieszczańską, to jednak, ograniczając się do negacji, zatracał elementy twórcze. Z siłą hypnozy lub narkotyku działały one na wyobraźnię mieszczańskiego inteligenta i same w sobie stanowiły satysfakcję i zadośćuczynienie.

Wobec tego ogromu krzywdy i zła protest autora „Walki z szatanem" znajduje swój główny wyraz w „rozdrapywaniu ran" na chorym organiźmie społeczeństwa. Bierny ten gest ze strony inteligenckiego demokraty w okresie jego życia, w chwili budzenia się świadomości klasowej polskiego robotnika, zawierał w sobie jeszcze pewne akcenty radykalno-postępowe, dziś jednak, gdy świat pracy wyszedł z ukrycia i konspiracji i stał się w wielu krajach współorganizatorem państwowego bytu, to „rozdrapywanie ran" jest jedynie bladym anachronizmem. Jest ono niejako połyskiem bagnetu, którego ostrze tępe i kruche. Lud bowiem świadomy własnej odpowiedzialności za swe losy nie pozwoli, by te rany „zabliźniały się błoną podłości".



BRONISŁAW JAMONTT — PEJZAŻ ROMANTYCZNY

III.

Tak, ale przecież Żeromski nie ograniczył swego protestu jedynie do malowania obrazów nędzy, on zawarł w swej twórczości prawdziwy kult pracy oraz stworzył koncepcję bohatera, walczącego ze złem w obronie człowieka pracującego w trudzie i znoju. W jednym i drugim wypadku burzliwy nurt społeczny przepuszczony został przez gorący filtr indywidualności twórczej autora, którego współczujące serce, nie znając żelaznych więzów rozumu, chciwie chłonęło wszelkie odgłosy świata zewnętrznego. Zlewały się one w rzewną i namiętną gamę wzruszeń, wśród których żałosne łkanie zbolałej duszy bohatera tłumiło huk maszyn fabrycznych i donośny głos sztygara. Wprawdzie Żeromski odnosi się do pracy z głębokim szacunkiem, graniczącym niemal z entuzjazmem i dostrzega dynamiczny heroizm, tkwiący w czynie człowieka, ale zabarwia go tak potężnym uczuciem, że na czoło zasadniczego problemu wysuwa się postulat głębokiego współczucia i bezgranicznej litości, które rzekomo zdolne są „wkleczeć w kamieniu" lepszą dolę dla nieszczęśliwego bandosa.

Natomiast zawarta w twórczości Żeromskiego koncepcja człowieka walczącego ze złem, która po dziś dzień jest przedmiotem szczególnego zainteresowania, w istocie stanowi „piętę Achillesową" w dziełach autora „Ludzi bezdomnych". Na ten odcinek twórczości padł najgęstszy cień romantyzmu. Przede wszystkim samo zło, ujęte metafizycznie, nabiera cech fatalizmu. Chociaż Żeromski określa trafnie jego istotę słowami: „zło niewątpliwie jest tylko jedno: krzywda bliźniego", to jednak nie potrafi go zdeterminować historycznie i społecznie. „Któż to wie, kto wśród nas jest łotr, a kto sprawiedliwy?" — mówi Seweryn Baryka.

Poza tym romantyczny i mitologiczny kult indywidualizmu nadal wlecze swój żywot w powieściach Żeromskiego. Romantyczne wzorce Konrada i Kordiana mogą uchodzić w znacznej mierze słusznie za inspiratorów i protoplastów społecznych bojowników autora „Walki z szatanem". Opanowani namiętną żądzą ulżenia doli cierpiącej ludzkości, chociaż nie domagają się otwarcie „rządu dusz", to jednak niemniej chcieliby sami (!) „cały świat dźwignąć, uszczęśliwić i zadziwić". Nie jest to wyłączny wpływ romantyzmu. Odczuwa się bliższy powiew ideologii „narodników" i ich teorii o „biernym tłumie" i o bohaterach „opatrznościowych jednostkach", tworzących w istocie historię i sprowadzających masową pracę rewolucyjną do ciasnych ram indywidualnych eksperymentów.

Żeromski wprowadza swych bohaterów na szeroki trakt ideowy, na którego drogowskazach roi się od aktualnych haseł, napęczniałych patosem miłości i bólu i każe im posuwać się we wskazanym kierunku. Niestety, cel ich wędrówki na dalekim horyzoncie zasnuty jest gęstą mgłą. Społeczni działacze nie są w stanie przedrzeć się przez mgłę socjalnego bezładu. Błądzą wśród niej poomacku na tym padole krzywdy, nie mogąc doirzeć właściwej drogi do jej usunięcia, drepczą w miejscu, prowadząc walkę z urojoną wizją „szatana", który czai się za każdym węgłem ludzkiego osiedla. Bohaterowie autora „Ludzi bezdomnych" nie analizują rzeczywistości, lecz ją wchłaniają za pomocą swej wrażliwej i uczuciowej psychiki, — zamiast nad nią się zastanawiać, wprost nią się upajają. Ich serce stanowi doskonały sejsmograf, reagujący skurczem na wszelkie wstrząsy życia społecznego. Postawa emocjonalno-wzruszeniowa wbrew wszelkim antyfilantropijnym deklamacjom bohaterów Żeromskiego jest właśnie podstawowym czynnikiem, pobudzającym raczej do wszelkiego rodzaju aktów filantropii, niż do prawdziwie produktywnego czynu, zmierzającego do całkowitego zasypania źródeł zła, do wyplenienia chwastów z życia drogą wyjałowienia gleby, na której rozrosły się bujnie. „Ja chciałem udowodnić lekarzom, co powinni czynić pod naciskiem nie miłości bynajmniej, lecz wskazań zimnego rozumu" — powiada wprawdzie Judym. Ale jest to typowa u Żeromskiego manifestacja werbalizmu, której tak często używa ten geniusz słowa i serca, rozporządzający doskonałym systemem deklamacyjnym, pięknym i podniosłym w tonie, ale sprzecznym z życiem i działalnością jego bohaterów. Duży ich zastęp rekrutuje się z ludzi, którzy nie znają zastrzeżeń rozumu i przez to stają się bezbronni wobec rzeczywistości i ulegają jej kaprysom. Tendencje ich nie opierają się na żadnym zorganizowanym systemie myśli i nie zdradzają poczucia historycznego pragmatyzmu. Ich posągowa indywidualność, wyrastająca ponad społeczeństwo jest zjawiskiem fenomenalnym w życiu, nie stanowi jego uzupełnienia i nie może przeto odczuć olbrzymiej potęgi praw ekonomicznych i społecznych. Tutaj dopiero możemy w całej pełni uprzytomnić sobie, jak dalece Balzac, jako pisarz-socjolog przewyższa autora „Ludzi bezdomnych". W dziełach wielkiego twórcy „Komedii ludzkiej" każde drgnienie psychiki człowieka, zarówno jej genialne błyski jak też wypaczenia i mankamenty, są refleksem otaczającej go rzeczywistości, nie są natomiast wtłaczane we wnętrze odrębnej osobowości jako niesamowita namiętność, sprawująca dyktatorską władzę.

Jednakże ci „bezdomni" bohaterowie, chociaż są wyposażeni w niezwykle czułe na krzywdę bliźniego sumienie, kojarzą z nim jednocześnie nieufność a nawet bojaźń w stosunku do tych, którym chcą dopomóc. Nie potrafią zawierzyć ludziom, dla których pragną pracować, nie potrafią przebyć owego intelektualnego dystansu, — zbliżyć się do nich, — wydobyć olbrzymi zasób potencjalnej energii, by ostatecznie zdyskontować ją w świadomym, konkretnym i owocnym czynie. Los Nienaskiego ma być przestrogą dla śmiałków. I właśnie ta nieufność i bojaźń do świata pracy, ta głęboko tkwiąca postawa inteligencko-mieszczańskiego filantropa, wyrażająca się w znanym haśle, że należy „uczynić coś dla ludu" ale „nie przez lud", oparta na błędnej przesłance, że lud sam nie może stać się twórcą swego bytu i własnej kultury, ciążyła od dawna na umysłowości inteligencji polskiej. Nawet plebejusz Judym ulega tej mentalnej deklasacji, która wzbrania mu obalić barierę nieufności w stosunku do człowieka z nizin społecznych, a co najwyżej pozwala zdobyć się na dąsy i „szewską pasię" wobec Krzywosądów i Węglichowskich. Swą nieśmiałość i bojaźń zdradza Judym niemal na każdym kroku, w najbardziej subtelnych odruchach swej psychiki. Oto przykład: „W duszy Judyma błąkało się dla tych ludzi (górnicy w kopalni) przywitanie czy pozdrowienie, ale na usta nie miało siły wypłynąć. Obchodził ich w milczeniu. Piersi jego trzęsły się, a w nich serce".

Ponieważ świat pracy jest jeszcze „niedojrzały" i mało „kulturalny", pozostaje więc droga „nawracania Judasza", droga współpracy z warstwą panującą, droga bardziej „humanitarnego" solidaryzmu, w którą wierzy Żeromski, pisząc te słowa: „okaże teraz i szlachcic polski wielkość duszy. Odpasze złotolity pas, zstąpi w piastowski lud i stanie się ludem". (Początek świata pracy) — w tych słowach brzmi wyraźna nuta romantyzmu, nawiązującego do poglądów autora „Nieboskiej komedii", który w swych „Psalmach przyszłości" idealizował również zgodę szlachty z ludem: „Z szlachtą polską polski lud, dusza żywa z żywym ciałem, zespolone świętym szałem". Dzisiejszy stosunek warstw obszarniczych do reformy rolnej jest najlepszą odpowiedzią na te ponętne marzenia inteligenckiego demokraty.

A zatem bohater Żeromskiego nie umie organizować mas pracujących, nie umie wyczuć w nich energii konstruktywnej o charakterze społecznym i ucieka się raczej

do akcji filantropijno-reformatorskiej ze strony klas posiadających. Solidaryzacja inteligencji ze światem pracy nie wykracza poza sferę psychicznej inklinacji. Tam, gdzie kończy się manifestacja zbawiennych programów i haseł, tam, gdzie nie ma drobiazgowej obserwacji wynaturzonego życia i bezgranicznego podziwu dla znojnego trudu, a przychodzi wreszcie nawiązać bezpośredni kontakt ze światem pracy, bohater autora „Walki z szatanem" okazuje przerażającą niemoc, tam dopiero wybucha nerwowy bunt, porażonej społeczną destrukcją psychiki. Następuje istna pasja samoudręczenia, znajdująca swój wyraz w „bezdomności". Dla człowieka realnie patrzącego na życie jest ona tylko chorobliwym odruchem psychicznym, zdradzającym raczej neurastenię, niż pełną świadomość metod naprawy stosunków społecznych. I naprawdę trudno uwierzyć w skuteczność słów Judyma, który rzuca Joasi te słowa: „Ja muszę rozwalić te śmierdzące nory. Nie będę patrzeć, jak żyją i umierają ci od cynku", by za chwilę stwierdzić swą „straszliwą nienawiść" do siedzib robotniczych, które zabrały mu szczęście domowego ogniska.

Żeromski, który w świetle swej twórczości częstokroć robi wrażenie pisarza-socjologa, każe swym bohaterom cierpieć i tylko cierpieć za „miliony" i właśnie w tym głębokim odczuciu krzywdy ludzkiej, wstrząsającym do głębi duszę bohatera i wyobraźnię czytelnika widzi autor „Walki z szatanem" wielkość swoich „działaczy", których samotniczy heroizm urasta do kosmicznej wizji ofiary ekspijacyjnej, będącej rezultatem sceptycznej i pesymistycznej postawy wobec życia. Toteż kończy przeważnie swoje powieści bolesnym zgrzytem i tragedią litości, kompletnym fiaskiem i klęską wszelkich wysiłków swoich bojowników. Jeżeli nie pójdą drogą sybarytyzmu i mieszczańskiego filisterstwa Obareckich, to albo w przystępie rozpaczy i rezygnacji skończą samobójstwem Korzeckiego, albo zginą z rąk tych, w których współpracę nie wierzą (Nienaski) lub padną ofiarą kaprysów pewnego rodzaju „narodniczestwa" i chłopomaństwa (Bzowska) albo wreszcie jako „bezdomni" w postawie filantropa nie dostrzegą owej powierzchowności nierealnej i bezsilnej w życiu i w wielkopańskim geście „spłacenia długu" w najróżnorodniejszej postaci będą widzieli istotne rozwiązanie zagadnienia krzywdy społecznej.

IV.

Myślę, że niewielu jest dziś wśród nas takich, którzy potrafiliby na podstawie planów reformatorskich Żeromskiego budować coś trwałego, którzy by mogli liczyć na wydajną pomoc jego działacza-społecznika, samotniczego herosa, bojącego się jak ognia radykalnych posunięć, kroczącego bezwolnie ciernistym szlakiem życia od konfliktu psychicznego do wybuchu, od spazmu do depresji i załamania. Żeromski nie wskazuje więc istotnej drogi wyjścia z chaosu społecznego a jego bohater jest jedynie dodatkowym świadectwem destrukcji mieszczańskiego środowiska. Twórczość Żeromskiego wzrusza i niepokoi, wstrząsa do głębi i przejmuje bólem, ale nie może nadawać kształtu nowemu życiu i uzbrajać do walki, nie wyzwala bowiem energii, lecz ją raczej tłumi. W bezmiarze uczuciowości i „współczującego serca" spala się wszelki czyn i realizacja.

Mimo wszystko, to silne zabarwienie uczuciowo-emocjonalne, które nasyca treść społeczną, nie pozbawioną niekiedy romantycznej fantastyki (Róża, Przedwiośnie) po dziś dzień uwodzi umysły naszej inteligencji, lubującej się raczej w fascynujących i błyskotliwych wizjach, niż w suchej, lecz twardej wymowie powszedniego dnia.

Siłą rzeczy charakter treści wpłynął na formę, w której liryzm naruszył równowagę konstrukcji a komentatorstwo psychologiczne sprężystość akcji. Nie zamierzam jednak w tym względzie niechybnie z mniejszym powodzeniem wyważać otwartych drzwi. (por. art. Kazimierza Wyki, Odrodzenie nr 53) i podczas gdy dziś jesteśmy głęboko przekonani, że „twórcza" rola „współczującego serca" wygasa i — staje się wprost psychologicznym anachronizmem, z prawdziwym wzruszeniem czytamy następujące słowa Żeromskiego: „Literatura polska nie wyrosła z podglebia żywota ludu wieśniaczego i robotniczego, toteż nie jest zwierciadłem tego swoistego życia, czyli nie znalazła dla siebie formy, gdzieindziej nieznanej. Jest ona literaturą warstw zwierzchnich, szlacheckiej i mieszczańskiej. Jeżeli zajmuje się ludem, to zajmuje się jako barwą, jako tematem poniekąd egzotycznym, jako materią o wartości społecznej lub tworzy akt miłosierdzia, współczucia i łaski". (Snobizm i postęp).

Na tle współczesnej rzeczywistości, w chwili, kiedy lud, świadomy swej misji dziejowej, nie potrzebuje już inteligenckiej litości i wspaniałomyślnej filantropii, kiedy nie możemy patrzeć nań okiem Judymów i Nienaskich, kiedy polski bandos „zgarnia pokos zbóż i traw szumiących" na swym własnym zagonie, rozległa twórczość autora „Walki z szatanem" wyrasta niby spiżowy pomnik męczeństwa, który w szybkim biegu życia zatracił swój świeży połysk, stał się symbolem prawdy historycznej, żywej w naszych wspomnieniach, lecz nie w naszym życiu, i odbitej w czystym zwierciadle zbolałej duszy jej wielkiego twórcy.

*Aleksander Dzienisiuk*

*Damazy J. Tilgner*

# NAUKA POLSKA I JEJ UTAJONA PRZESZKODA

**Na zebraniu Rady Naukowej Instytutów Naukowo-Rolniczych w Bydgoszczy zagadnienie rozprowadzenia wyników badawczych w Polsce zostało naświetlone w wykładzie inauguracyjnym w sposób nowy i dlatego podajemy jego streszczenie. Red.**

Nauki stosowane mają w Polsce ogromne zadanie do wypełnienia. Chodzi o nadrobienie dużych zaległości, ciążących na nas w spadku po ubiegłych pokoleniach. Na każdym polu piętrzą się przed nami olbrzymie zadania, czekając na realizację. Zaległości cywilizacyjne są wprost przeogromne.

Chcąc kraj wydźwignąć z niżu cywilizacyjnego, jaki odziedziczyła nasza młoda demokracja, musimy przede wszystkim opierać się na zdobyczach nauk stosowanych. Byłoby przecież niesłychaną lekkomyślnością i marnotrawstwem sił, gdybyśmy zadania odbudowy i przebudowy struktury naszego kraju chcieli realizować metodami empirycznymi, płacąc za doświadczenie zmarnotrawionym wysiłkiem milionów rąk i uzyskując tylko połowiczne wyniki i gorzkie doświadczenie. Nauki stosowane mogą nas w dużej mierze ustrzec przed kosztownymi próbami empirycznymi na odcinku gospodarczym.

Nowoczesnej gospodarki nie można prowadzić bez oparcia o zdobycze nauk stosowanych i bez ciągłego kontaktu z nimi. Dlatego spotykamy w każdym postępowym kraju dużą rozbudowę nauk stosowanych. Pracownie i Instytuty badawcze są uznawane prawie wszędzie za warunek samodzielności gospodarczej i w ślad za tym politycznej społeczeństwa.

Rzeczą gorszą od zależności materialnej jest zależność od twórczości obcej. Nie możemy polegać na wysiłkach innych narodów — byłoby to nie tylko niskim parazytyzmem, lecz także wysoce zawodnym, gdyż potęga wiedzy płynie z wcześniejszego i szybszego jej zastosowania oraz z ścisłej łączności z tymi, którzy tę wiedzę reprezentują.

Wyniki badań mogą być charakteru teoretycznego, stanowiącego odskocznię dla dalszych zdobyczy naukowych — i charakteru stosowanego. W tym ostatnim wypadku chodzi nie tylko o osiągnięcie wyników badawczych natury konkretnej, lecz o rozprowadzenie tych wyników w terenie.

I tutaj zaczyna się istotne zagadnienie nauk stosowanych. Zadanie wydaje się na pozór proste — organizacyjne — sprowadzające się do właściwego poinstruowania szkół i poradni, organizowania kursów dla instruktorów i nauczycieli, opracowywania zrozumiałych, dobrze ilustrowanych ulotek i broszur w setkach tysięcy egzemplarzy — i rozprowadzenia nowych zdobyczy do poszczególnych komórek gospodarczych.

Lecz za tym zadaniem technicznym opracowania i umiejętnego kolportażu dorobku nauk stosowanych kryje się właściwe zagadnienie, prawdziwe i jedyne zagadnienie nauk stosowanych w Polsce. Czy ogół posiada właściwą dyspozycję, ażeby przyjąć u siebie i zastosować owe wskazania i żądania w stosunku do siebie i swego warsztatu?

I tutaj dochodzimy do sedna zagadnienia nauki stosowanej w Polsce. Mamy bowiem mniej lub więcej rozbudowane ogniwo nadawcze — placówki badawcze. I mamy ogniwo odbiorcze, owe miliony osobników gospodarczych, tworzących gospodarkę społeczną. Jeżeli ten zespół nadawczo-odbiorczy nie jest nastawiony na tę samą falę — falę dozbrojenia cywilizacyjnego kraju — iskry nadawcze nie natrafiają do odbiornika — ześlizgują się po nim jak po pancerzu — nie doczekają się realizacji terenowej.

W tym zakresie społeczeństwo, jako odbiornik zdobyczy nauki możnaby porównać do gąbki, — gąbki łapczywie wchłaniającej każdy nowy krok naprzód, każdą zdobycz myśli ludzkiej. Gąbka ta może być wprost nienasycona w natychmiastowym wchłanianiu jakichkolwiek nowych wskazań nauki stosowanej, wiedząc, że przez to zwiększa swój potencjał produkcyjny i tym samym gospodarczy i polityczny.

Dyspozycja duchowa takiej gąbki społecznej cechuje się **wolą ustawicznego usprawniania swej dzielności.** Wynika ona z irracjonalnych emocji człowieka, by pozostawić na ziemi ślad po sobie, by istotę człowieka

sprowadzić do zadania, które ma i musi jako obowiązek wypełnić tutaj na ziemi. Powstaje wyścig — szlachetny wyścig, porywający obie strony: nadawcę i odbiorcę do współzawodnictwa dla wspólnego dzieła.

Lecz gąbka społeczna może również mieć wręcz odwrotne nastawienie — zamiast łapczywego wchłaniania każdej nowej zdobyczy myśli badawczej — wnętrze tej gąbki może być spetryfikowane, niezdolne i nie odczuwające potrzeby wchłaniania nowych zdobyczy. Choć zewnętrzne pozory czynią dane społeczeństwo podobne do innych — istota, to jest podejście duchowe jest spetryfikowane.

Zamiast nienasyconego pędu każdej jednostki ku dziełu, czekającemu na wykonanie, zamiast **kultu dzieła i powszechnego zrywu** mamy apoteozę spokoju duchowego, apoteozę cichego, możliwie niezmąconego małego szczęścia człowieczego, przerywanego z rzadka pretensjami do świata, — skargami na zastój i niedocenianie wartości ukrytych i zawsze zapoznanych — słowem jałowy moralizm.

Każda myśl, zamącająca ciszę i jałowość duchową takiej spetryfikowanej gąbki społecznej budzi w niej wstręt i zbiorowy odruch oporu — spotyka się wręcz z jawną niechęcią. Niech się inni martwią o nas, — i jakoś to będzie!

Praca badaczy naukowych, — praca wydziałów oświatowych, wysiłki instruktorów, — słowem cały dorobek placówek badawczych pozostaje **materiałem do wzięcia.** Osiągane w terenie wyniki są skromne. Mamy objaw tak zwanego powrotnego analfabetyzmu gospodarczego. — Jednostka mimo przeszkolenia powraca po pewnym czasie do mało postępowych form pracy gospodarczej, pozwala się wchłonąć przez panujący wzór społeczny. Nie odczuwa się potrzeby, powszechnej potrzeby zwiększenia wysiłku. Po prostu zagraża niebezpieczeństwo spotykane przed wojną, że nie ma dla kogo ogłaszać nowych wyników. Panuje **wszechwładny statyzm, kwietyzm, wegetacja,** a w ślad za tym **podwydajność** gospodarcza i kulturowa jednostek i ogółu — słowem rozkwit indywidualizmu wegetacyjnego.

Takie nastawienie nie jest oczywiście powiązane ani z rasą, ani z położeniem geograficznym, ani skutkami niewoli politycznej, lub innymi czynnikami i wpływami, którym chcielibyśmy przypisywać ten stan. Statyzm i kwietyzm jest li tylko odbiciem panującego w danym społeczeństwie światopoglądu.

I mylą się ci, którzy sądzą, że wystarczy zwiększyć kilkakrotnie ilość zakładów badawczych i naukowych, by uzyskać w ciągu kilku, lub kilkudziesięciu lat unowocześnienie i dozbrojenie cywilizacyjne danego kraju.

Wyniki badań naukowych mogą być spożytkowane w społeczeństwie tylko wówczas, gdy społeczeństwo to odczuwa potrzebę zwiększenia wydajności — gdy każde indywiduum uważa za swój obowiązek powiększenie dzielności duchowej i gospodarczej — gdy irracjonalne motywy wskrzeszą w nim nowe utajone energie i gdy te energie zostaną wprzągnięte w ogólny, planowy zryw.

Na tym tle dostrzegamy dopiero powody, dlaczego dorobek nauki polskiej mógł być dotąd nieproporcjonalnie mały do ogólnej liczby ludności w porównaniu z innymi narodami — i dlaczego nawet ten skromny dorobek nie znajdywał właściwego oddźwięku i realizacji w terenie polskim. Dlaczego zacofanie kulturowe i gospodarcze — analfabetyzm w wielu dziedzinach gospodarczych był tak uporczywy — dlaczego wielu badaczy naszych znajdowało zagranicą znacznie większy oddźwięk i uznanie.

Zagadnienie nauki stosowanej w Polsce nie jest więc li tylko zagadnieniem małej ilości badaczy, albo niedostatecznego wyposażenia placówek — lub innych czynników.

Jest to w pierwszym rzędzie zagadnienie człowieka w Polsce — jego ideałów — jego odczuwań i emocji. Zagadnienie to powtarza się na wszystkich innych odcinkach życia polskiego — jest zagadnieniem pierwszorzędnym — zagadnieniem Nr 1.

Od rozwiązania tego zagadnienia zależy powodzenie naszych programów gospodarczych — zależy rozpęd naszej pracy i osiąganych wyników — zależy zastosowanie dorobku badaczy naukowych i ich prac. Chodzi poprostu o rewolucję charakteru narodowego w Polsce — o zrewidowanie i uaktywnienie ideałów społecznych — **chodzi o powszechnie wyznawaną wolę dzieła w Polsce.** Wtedy dopiero będziemy mogli myśleć i spodziewać się możliwości realizacji naszych ambicji i planów na odcinku nauki, gospodarki, polityki, kultury.

Nie zmieniając natomiast podłoża ideowego — nie wskrzeszając nowych emocji, kierujących jednostkami — nowych energii buchających z milionów osobników gospodarczych — wszystkie nasze plany rozbijać się muszą o inercję duchową, a w ślad za tym gospodarczą społeczeństwa.

Między tym, jak według planów być powinno i jak sobie tego życzymy — a rzeczywistością musi pozostać niestety głęboki rozdział.

Widzimy więc, że przy takim naświetleniu dorobek nauki polskiej, jego realizacja terenowa są zasadniczo zależne od czynnego lub biernego nastawienia duchowego społeczeństwa. Wpływ światopoglądu jest decydujący. Podstawowym warunkiem jest przezwyciężenie owego statyzmu w psychice zbiorowej narodu.

Bo człowiek nie żyje po to, aby trwać i wegetować, lecz aby szukać głębokiej radości w tworzonym dziele.

Współzależność, jaka istnieje między naszym dorobkiem badawczym i realizacją terenową a psychiką zbiorową, t. j. panującym światopoglądem, jest oczywista.

Zagadnienie to, jako podstawowe, wymagałoby szerszego naszkicowania. Niniejszy rzut ma służyć tylko jako wyraz zrozumienia jego doniosłości przez wielu z nas na terenie Bydgoszczy.

W III. Rzeczypospolitej, w której żyjemy, naród nasz wchodzi w nową erę, mającą go wyprowadzić z dziejowej matni. Oby fala wzbierających i podświadomie odczuwanych emocji została zebrana w jeden wielki zryw społeczny ku nadrobieniu ogromnych zaległości cywilizacyjnych i kulturalnych — oby udało się stworzyć nowego człowieka w Polsce — a w ślad za nim uzyskać właściwe podłoże dla badań i nauki stosowanej i osiągnąć powszechną realizację jej wyników i dorobku.

Wtedy bowiem będziemy świadkami prawdziwego i naturalnego rozwoju nauk stosowanych w Polsce i żywiołowej demokratyzacji osiąganych wyników. Wstępem do rzeczywistego postępu nauki jest i musi być rewolucja światopoglądu i charakteru, a jej wykładnikiem — powszechna, uparta wola dzieła.

*Damazy J. Tilgner*

*Władysław Dunarowski*

# SMUGA LASU

**(OPOWIADANIE)**

Od ostatniego skrzyżowania dróg nie znali się zupełnie. Stali się ludźmi obcymi, idącymi każde w swoim kierunku. Jeszcze przed chwilą byli sobie bardzo bliscy. Ona była matką, on był jej synem. Ona wpatrywała się w jego oczy z milczącą trwogą, on całował ręce matki, unikając jej dogłębnych spojrzeń.

A potem to jej pytanie, dokąd pójdzie ze stacji? A potem to jej przenikliwe zdziwienie, gdy z pewnego rodzaju wstydem wyszeptał, że dla nich nie ma stałego miejsca oparcia. Nie ma na całej kuli ziemskiej.

Matka, choć sprawę dobrze znała, przecież nie mogła pojąć, że można być człowiekiem, a nie mieć swojego kąta, domu, swojego stołka, łóżka, swojego pieca, w którym się tli choćby drobny żar ognia, swoich zachcianek, drobiazgów, bez których normalnie nie można sobie wyobrazić życia. Patrzała na to matka, ale jakby nie widziała.

Toteż gdy zapytała go, dokąd pójdzie ze stacji po odjeździe pociągu, a Konrad nic nie odpowiedział, była mocno zgorszona.

Konrad patrzał tylko na smugę lasu, rozdzielającą czarną kreską niebo od ziemi, patrzał i milczał. Bo cóż on ma w tej sprawie do powiedzenia? A wszystko inne obgadali z matką z najdrobniejszymi detalami. Od wczoraj mieli czasu dosyć. Teraz ona odjeżdża do domu, on zostaje. A dokąd pójdzie? Czy on sam wie? Czy dziś pyta się kto, co za godzinę będzie? Każdy patrzy tylko na chwilę obecną, tę, którą wypełnia swym tchnieniem, i jest zadowolony, że tę chwilę ma, że ją odczuwa. Godzina — to czasem wieczność cała.

Ale matka jak matka. Popatrzała na tę smugę lasu, pokiwała głową, zdławiła w sobie jakieś nowe zapytanie, wytarła oczy, choć udawała, że nos wyciera, pożegnała się — i na tym koniec.

— Przyjadę za miesiąc. Prędzej nie będę mogła. Ale za miesiąc muszę się wyrwać z domu, choć tak to ciężko przychodzi. Wypiorę to wszystko z walizki i przywiozę. Tylko uważaj na siebie. Uważaj. Teraz jakoś poszło ci szczęśliwie, choć te dwie koszule całe skrwawione. Zawinąłeś je w sam środek, ale widziałam. O, bo matka wszystko widzi. O mnie się nie martw. Podpisałam im jakiś papierek, więc chyba zostanę na miejscu. Muszę zostać. Tylko w ten sposób mogę wam coś przywieźć, mogę was oprać i obszyć. Wiem, że to mało, ale cóż ja więcej... O, już skrzyżowanie dróg... miasto widać. Nie przybliżaj się. Niech cię Bóg...

Szli od tego miejsca jako ludzie obcy, nieznani sobie zupełnie. Na stacji była pierwsza. On się zjawił parę minut przed odjazdem pociągu. Wpadł do jej przedziału, śmiało przeszedł cały wagon, na półce ulokował walizkę, przysunął drugą, usiadł, potem sobie coś przypomniawszy, przeszedł do następnego przedziału.

Za chwilę pociąg ruszył. Brodnica zamazała się w popielatej mgle.

Teraz zaczęła się jej udręka.

Wyczerpana usiadła na ławie i w tej chwili złośliwe myśli rzuciły się na nią jak

na bezbronną ofiarę. Zaczęły ją kąsać coraz dotkliwiej. A to... czy Konrad wyszedł szczęśliwie z pociągu, czy go ktoś nie zaczepił na stacji, czy po drodze... I setki innych pytań, żadną logiką ze sobą nie powiązanych. Żadnym sensem. Ale czy podczas wojny dzieje się cośkolwiek według prawideł rozsądku? Tu rządzą tylko prawa siły i absurdu. I najtragiczniejsze to, że od tych praw nie ma odwołania.

Smugi pomorskich lasów ukazują się i znikają. Dudnienie kół podrzuca ludźmi i ich myślami. Ona nie wie, jak długo to trwa. Po jakimś silniejszym wstrząsie trzeźwieje zupełnie. Więc rozgląda się za walizką. Wnet stwierdza, że z walizką wszystko w porządku. Ktoś położył na niej inną. Tym lepiej. Żeby tylko nie wpadli z rewizją. Czy, jadąc zeszłego razu, była rewizja, czy nie? Już nie pamięta. Ach, jaką ona ma głowę! Chyba wnet straci pamięć zupełnie. Była ta rewizja wtedy, czy nie?

Zadaje sobie gwałt, chcąc myśleć o czym innym. Nie udaje się. Przecież w walizce jest pokrwawiona bielizna, jest tej bielizny dużo. Więc w razie badania: czyja? od kogo? A oni umieją się pytać!

Już sobie postanowiła, że w razie czego, do walizki się nie przyzna. Kto jej co udowodni? Ale oni mogą cały wagon aresztować. Wszystkich.

Jak tu gorąco!

Chciałaby z kimś zamienić żywe słowo. Ale czy można? Czy to się wie, z kim się siedzi? Ludzką mową odezwać się nie wolno, więc trzeba milczeć.

Może pacierze... Tak, tu nie trzeba żadnej mowy oprócz tej najcichszej — serca. Niestety, serce tak jest skołatane, że na jakiekolwiek zrywy nie ma sił.

Znów smuga lasu. To ją drażni i zarazem pociesza. Przecież każdy wie, że tam jest miejsce jedyne, gdzie Konrad znajduje jakie takie prawo do życia. Jakie takie prawo istnienia. Ale — jak sam twierdzi — jeżeli do pół roku nic się nie zmieni na świecie, wytrzebią ich do ostatniego. Już ich osaczyli ze wszystkich stron. Zaczyna być ciasno. Tak ciasno, jak było przedtem w Borach Tucholskich.

A właśnie, gdy był w Borach, mógł sam wpaść do domu, ogrzać się, umyć, zabrać potrzebne rzeczy i nie narażać matki na niebezpieczne wędrówki. Dotąd one się udawały, lecz to nie świadczy o niczym. Bo właśnie dziś może być inaczej. Dziś — kiedy wnętrze walizki wypełnione jest krwią syna.

Ta krew! Nawet nie chciał powiedzieć, czy rana była ciężka, czy się już zagoiła. Zbył matkę czym innym, zagadał, dając jej do zrozumienia, że to błahostka, nic ważnego.

Tyle się tylko wygadał, że robi się coraz ciaśniej. Po wsiach Polaków coraz mniej. Wysiedlają stale. Dziś idziesz na pewniaka do domu, gdzie możesz spokojnie przenocować, bez obawy zdrady — a następnego dnia zastajesz tam szwaba.

W wagonie nagle się zakotłowało i osiadło martwą ciszą. Rewizja dokumentów i paczek.

I właśnie teraz uspokoiła się zupełnie. Już nie drży, serce nie wali, oddech normalny. Jest zwyczajną pasażerką zwyczajnego pociągu i świadoma zwyczajnych spraw dnia. Papiery w porządku, walizek żadnych.

Poszli dalej.

Nie zdziwiło ją to bynajmniej. Lekkim ukłuciem w serce odczuła, że coś się już stało a to drugie stanie się za chwilę.

Oblicza: są w drugim rzędzie; zanim dojdą do jej walizki, może się coś zdarzyć... może jakaś stacja, pociąg stanie... Wówczas oni przerwą swe czynności, a potem... No, co potem?

W tej chwili jeszcze sześć osób oddziela jej fatalny bagaż. Jeszcze pięć, jeszcze cztery... Tak, nie ulega wątpliwości, że walizkę straci. Tyle bielizny! Najgorsze to, że dziś tak trudno o te rzeczy.

Jeszcze dwie osoby...

Czy godzi się tyle ludzi narażać?..

W tej chwili stała się rzecz nieoczekiwana, która uwagę żandarmów pochłonęła zupełnie. Przedostatnia walizka ujawniła wnętrze tak niebezpieczne dla spraw wojny, że postanowiono zająć się nią ze specjalną uwagą. Masło, sery, smalec, pół gęsi... nie, to są rzeczy wprost nie do pomyślenia w epoce najprzeróżniejszych surogatów. Kiedy nawet życie stało się surogatem. Aby te rzeczy nie zrobiły spustoszeń w słabszych umysłach, postanowiono całą zawartość skonfiskować.

Dzięki temu wypadkowi ocalała ostatnia walizka. Nikt na nią nie zwrócił uwagi. Mówi się pospolicie, że przypadek albo szczęście.

Ona jednak z przezorności zsunęła się bez protestu w czyjeś drżące ręce i przez otwór drzwi wysunęła się w ciemną przestrzeń nocy. Czy to była ta właśnie stacja czy inna, nikt się nad tym nie zastanawiał. Były to przecież te nieszczęsne czasy, kiedy częściej wypadało kierować się odruchami, aniżeli rozumem.

Kobieta wysiadłszy z pociągu drżała jak osika. Dopiero szum drzew, szum zwyczajny i spokojny, wrócił jej równowagę myśli i wskazał, co w tej chwili czynić trzeba.

Kobieta wzięła walizkę i ruszyła naprzód.

*Władysław Dunarowski*

*Alfred Kowalkowski*

## KWIAT

**I oto znowu jesteś kwiatem**
**i nie ma w tobie już niczego,**
**co ukryć mogłabyś przed światem**
**i wiosną powstającą z śniegu.**

**Wiatr rośnie twoim szeptem niemym,**
**śpiewasz modlitwy czystej bieli**
**światłością nieba, wonią ziemi —**
**pełnia jasności, ciszy kielich.**

**Skupioną siłą twoje wnętrze**
**ciężarem bujnych barw bogate,**
**od roztopionych słońc gorętsze,**
**strzeliste nagłym zrywem katedr.**

**Na zewnątrz świetlnym tchem podana,**
**promieniująca i promienna,**
**przeczucie, trwanie, młodość sama,**
**przemijająca i niezmienna.**

**Głębię spokoju, dzień u głębi,**
**wspomnienie ust, twe dłonie obie**
**czuję w swych dłoniach. A wiatr ziębi**
**jedyny kwiat na twoim grobie.**

**1944.**

*Alicja Iwańska*

## NALOT

**Ponad ulice milionowe,**
**ponad kamienie obojętne,**
**bezpieczne kiedyś,**
**bezpieczne znów,**
**skąd słowa obietnicy padły —**
**wysyłam z głębi dnia mojego,**
**wysyłam z głębi moich snów —**
**wszystkie eskadry.**
**Że w latach gradów i zawiei**
**tyś trwało nic nie dając**
**i będąc miastem złej nadziei**
**dla wsi i miast i kraju.**
**Że zamiast stopić się w dynamit**
**w tamte miesiące letnie,**
**tyś pozostało dla mego miasta**
**miastem obietnic.**
**Że gdy płonęło wszystko wokół**
**opoka była wciąż opoką,**
**kamień śmiał zostać tym czym był.**
**Za to wyrokiem krwi i gruzu**
**spadnie na miasto czarna burza**
**miażdżąc je w proch i pył.**
**I wszystko jedno gdzie to miasto,**
**jaki to wiek i lata.**
**Zemsta przekreśla daty**
**i strony świata.**
**Gnane przez własny proch i gruz,**
**przez własny ból i głód**
**lecą eskadry nad to miasto.**
**Lecą na zachód i wschód.**
**Tam gdzie panował dotąd spokój,**
**gdzie kamień został tym czym był,**
**buchnie za chwilę gruz i popiół,**
**żużel i pył.**

**1944.**

*Teodor Mikołajczak*

## CIENIE

**Usta moje spragnione,**
**Słoneczne spijam wino,**
**Nic to, że mgłą omszone,**
**Goryczą wspomnień płyną.**

**Usiądę w słonecznej wiośnie,**
**Obetrę pot chłodnym cieniem,**
**Nad czołem błękit wyrośnie,**
**Zwieszony miodów sklepieniem.**

**Serdecznie przycisnę kwiaty,**
**Barwą mej krwi się mieniące,**
**Skropione łzami przez kraty,**
**Przez długie... długie... miesiące.**

**Oczy zielone ozimin,**
**Obłoki nakryją powiek,**
**W cieniu rzęs — ciemnych nizin,**
**Umarły patrzy człowiek.**

**Trawy do snu ukołyszą,**
**Dalekich wspomnień szelestem,**
**Wyrośnie cień towarzysza,**
**I ziemia szepnie: jestem!**

# POMORZE POD OKUPACJĄ

*Jan Piechocki*

## NASI OKUPANCI

Instynkt nie mylił masy bydgoszczan, gdy na wieść o załamaniu się frontu w tragiczne dni wrześniowe 1939 r. rzuciła się do ucieczki. Wyjąwszy nieliczne jednostki, przeważnie ze sfer urzędowych, które korzystały z samochodów i kolei, chodziło przeważnie o ucieczkę z rodzinnego miasta na łeb i szyję, bez przygotowań, bez bliżej określonego celu i kierunku. Ludzie uciekali przed Niemcami jak zwierzęta przed pożarem w stepie. Nigdy nie zapomnę widoku półślepego starca, który wolno, krok za krokiem, wśród strumienia uchodźców pchał przed sobą stary dziecięcy wózek, załadowany nędznymi manatkami. Byle od nich daleko, jak najdalej... Tak kazał instynkt plemienny wbrew obiegowym mniemaniom o kulturze niemieckiej, opartym na pochlebnej ocenie tego lub owego osobistego kontaktu z „dawnymi" Niemcami. Ci, którzy dotarłszy dość daleko, nie wrócili z ucieczki, przeważnie wygrali. Pozostawili na pastwę losu całe swoje mienie, musieli często rozpoczynać budowę nagiej egzystencji z niczego, przecież — zawierzywszy instynktowi — lepszą cząstkę obrali od tych, co wrócili po to, by znaleźć dostęp do własnego mieszkania zamknięty, mienie skradzione przez najeźdźców i prędzej czy później powędrować do jakiegoś lagru, na roboty do Niemiec lub do więzienia.

Istotnie, hitlerowski Niemiec usprawiedliwił po stokroć instynktowny lęk przed nim naprzód uchodźców Polaków, a później — w analogicznej sytuacji — Belgów, Holendrów, Francuzów itd. Oczywista pamiętał Pomorzanin typy pruskich żandarmów, butnych junkrów, hurrapatriotycznych belfrów z czasów niewoli, ale mało kto mógł przewidzieć ostatnie potworne ogniwo ewolucji tych i innych form zarodkowych hitlerowskiego człowieka. „Te Niemcy to jakieś inne ludzie" — „Niemiec bardzo się zmienił" — tak mniejwięcej konkludował robotnik i drobnomieszczanin w rozmowach na temat okupanta.

Uderzyć musiała prostego obserwatora już sama zmiana **zewnętrznego** wyglądu, ta przygniatająca przewaga wysportowanej, zawsze w jakiś mundur przyobleczonej postaci dryblasa — zbira, o kanciastych ruchach i aroganckiej, przekrwionej gębie. Zapodziały się gdzieś figury poczciwych piwoszów, dobrodusznych mieszczan, solidnych urzędników i kulturalnych patrycjuszy, które majaczyły we wspomnieniach sprzed r. 1918. „Nowi" Niemcy nie mieli nic w sobie, coby można nazwać „gemütlich". Mówienie podniesionym głosem, reagowanie z najbłahszej przyczyny nieopanowanym krzykiem stało się widocznie nałogiem każdego przedstawiciela t. zw. „Herrenvolku". Poznałem ich jako mówców tylko poprzez rozgłośniki radiowe, ale zdaje mi się, że nie przesadzę, jeśli powiem, że przemawiając publicznie — od „führera" do „Kreisleitera" — każdy uważał za szczyt sztuki retorycznej utrafienie w ton koszarowo-feldweblowski. Jakiż dopiero użytek z podniesienia głosu, z ryku i wrzasku czynili różni drobnego formatu „führerzy" w fabrykach i warsztatach, po biurach i urzędach, w policji i w osławionym „arbeitsamcie"!

Do bardzo charakterystycznych cech hitlerowskich zaliczyć wypadało aż śmieszną w jej nasileniu nieufność wobec pracownika wogóle, Polaka w szczególności. Troską jakiegoś poliera np. było przede wszystkim, aby wszyscy, za każdą cenę, **ruszali się** przy budowli. Nie chodziło tyle o celowość pracy ani nawet jej efekt, ile o to, żeby nikt przez chwilę nie stał bezczynnie. Komedia rozpoczynała się, gdy — jak to nieraz bywało — cała kolumna robotnicza faktycznie nie miała co robić z powodu braku materiału, zepsucie się jakiegoś trybu machiny organizacyjnej lub poprostu wadliwego ugrupowania sił roboczych. Nie chcąc zwrócić na siebie uwagi, trzeba było wtedy fingować pracę, np. wywracać ułożone już sterty desek czy belek i układać je na nowo. Miałem, pracując jako robotnik w osławionych zakładach Dynamitu w Łęgnowie, majstra, który mi wręcz zalecił taką manipulację na wypadek, gdyby na budowli zjawił się ktoś z dyrekcji. Kiedy indziej wraz z znaczną liczebnie grupą kolegów byliśmy przez kilka dni zajęci bez rzeczowego powodu przerzucaniem góry piasku do punktu odległego o 4 do 5 metrów. Wszystko to tylko w myśl zasady, by nikt nie stał... bezczynnie. Obok nieufności wobec każdego, kto się nie rusza, a więc mógłby swobodniej czas tracić na „niebezpiecznych" dla reżimu rozmowach, była to reakcja mentalności, przywykłej do koszarowego „dryllu". W biurze niemieckim spotkałem się z analogicznym lękiem przed wyczerpaniem się roboty. Stąd każdy gryzipiórek musiał nie tylko intensywnie — o jakżeż intensywnie za marne wynagrodzenie! — pracować, ale jeszcze dodatkowo silić się nad sposobami i sposobikami wynalezienia sobie pracy na wypadek, gdyby mu pozostało 5 czy 10 wolnych minut. Szef niemieckiego biura (Kasy Chorych) przypominał mi swoimi metodami pogromcę dzikich zwierząt. Żeby mieć podwładnych lepiej na oku, kazał zaraz na wstępie swego urzędowania oszklić wszystkie bez wyjątku drzwi, oczywista obrotowe. O systemie szpiegowania i donosicielstwa, wiszącym niby jakiś upiorny pająk nad każdym pracownikiem, wspominam tylko mimochodem, aczkolwiek punkt ten dałby się rozwinąć do rozmiarów sporego tomu. Podejrzliwość Niemców wobec cudzoziemca a zwłaszcza Polaka nie znała

*Marian Turwid*

## SŁOWO NA CZARNĄ GODZINĘ

**Porwał się krwawy zbir i cham**
**na JEJ najdroższy, nieskalany kształt! —**
**O jakimż słowem napiętnować mam**
**Ojczyźnie mojej zadawany gwałt!**

**Słowem jak kamień, jak miażdżący głaz,**
**jak bomb burzących opętańczy zgrzyt —**
**słowem niszczącym jak trujący gaz,**
**klątwą rzuconą na wieczysty wstyd.**

**Nie znaleźć w mowie naszej takich słów —**
**jak pól falistość, łagodny jej śpiew:**
**od kwiatów polnych do anielskich snów**
**znajdziesz ton każdy, prócz krzyku o krew.**

**A tu by trzeba by krzyk rósł jak dzwon**
**i bił na trwogę, na alarm, na zew —**
**iżby się zatrząsł z grozy boży tron,**
**iżby pożarem spłonął boży gniew.**

**A tu słów nie ma na ten zbrodni gmach**
**co wieżą Babel wdarł się w nieba wyż —**
**Nawet jęk zamarł, płacz skamieniał w strach,**
**gdy w błoto sztandar wdeptano i krzyż.**

**I gdy po trupach, po zbrodniach, przez łzy**
**do gontyn naszych wkroczył krwawy drab,**
**aby monstrancję porwawszy do łap**
**rozrzucić hostie między wściekłe psy.**

**O gdybyż Panie Twoje Słowo mieć!**
**Twojego Słowa niepojętą moc,**
**Gdyś kazał burzy: ściśnij się! słońcu: świeć!**
**i w jasność zmieniał wszystkich śmierci noc.**

**Gdybyż dziś w straszny Czarnych Godzin czas**
**mieć Słowo Twoje choć na chwili błysk,**
**choćby za cenę utraty Twych łask**
**i za światłości wiekuistych zysk**

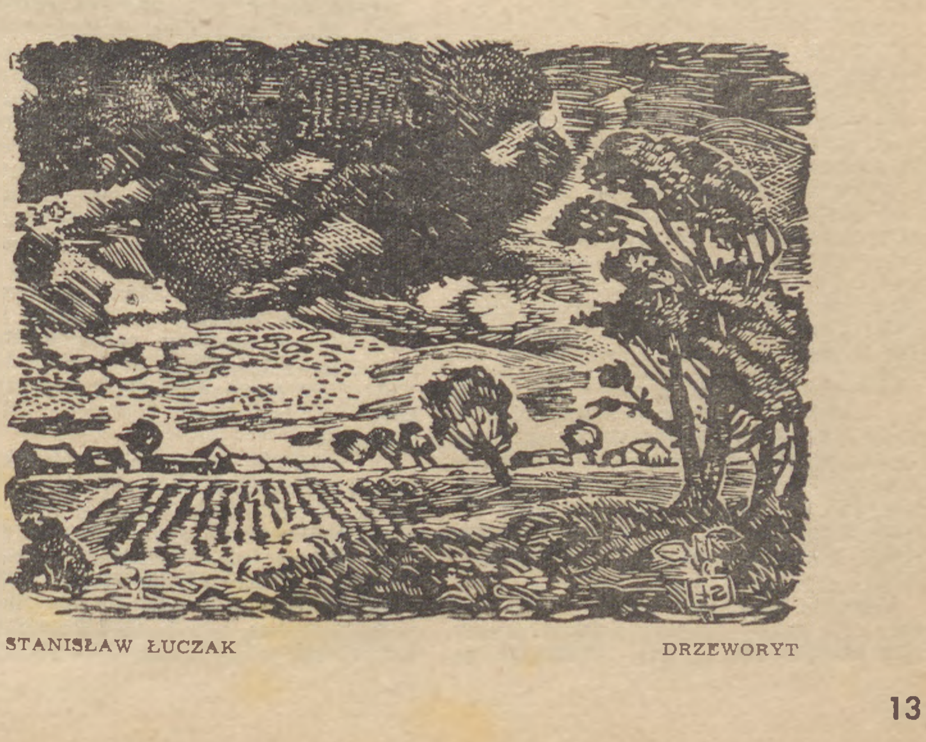
**wziąłbym Twe Słowo jak ognisty miecz,**
**by pomścić krzywdy i uczynić sąd**
**i dom oczyścić, i zbójecki trąd**
**wyplenić twardym, archanielskim: — precz!**

**— — — — — — — — — —**

**To tylko rozpacz o Ojczyzny los**
**śmiertelną dłonią sięga bożych ról. —**
**Wiem, że bez echa przeminie mój głos —**
**Twoją jest zemsta — a naszym jest ból.**

**Niech będzie naszym — obok bólu — hart.**
**I gdy nie wyjmiesz przekleństw z polskich kart,**
**nie daj łzom płynąć, wstrzymaj potok skarg**
**i mów — milczeniem zaciśniętych warg.**

**1939 r.**



STANISŁAW ŁUCZAK — DRZEWORYT

granic. W fabryce amunicji grożono mi „gestapem", za chwilę ożywionej rozmowy z Włochem podczas pracy, insynuując „politykę"; w biurze znowu szef ogromnie mnie zrugał za krótką pogawędkę na stronie... z Niemcem, co prawda podejrzanym o liberalizm. Wolno było prowadzić rozmowy tylko ściśle urzędowe!

Polscy robociarze, z którymi niejednokrotnie kolegowałem, z słuszną pogardą odnosili się do niemieckich metod pracy i w lot przejrzeli zakłamanie hitlerowskiej blagi o tzw. „Ethos der Arbeit". Dla inteligenta, zmuszonego pracować pod komendą okupanta, zastanawiające było **morze głupoty,** które szumiało poza strzępami podchwyconych tu i ówdzie rozmów między hitlerowcami. Pomijam brak orientacji politycznej w ciągu całej wojny i bezkrytyczną ocenę sytuacji wojskowej jeszcze na początku stycznia 1945 roku. Cóż jednak sądzić o nieznajomości takich rudymentów ogólnego wykształcenia jak np. które narody należą do grupy słowiańskiej? Dużo trudu kosztowałoby przeciętnemu Niemcowi wytłumaczyć, że Ukraińcy nie są szczepem germańskim, że Chorwaci są pobratymcami Serbów itp. Co więcej, w zdumienie wprowadzało mnie, jak marnym językiem — zwłaszcza w piśmie — władają ci, co niemczyznę chcieli oktrojować całemu światu. Znam wypadki, że w różnych biurach Polacy byli „specami" od redagowania wzorowych listów niemieckich. Miałem w ręku rojące się od kapitalnych horrendów ortograficznych listy Niemców na poważniejszych stanowiskach, co więcej, oglądałem nawet świadectwo szkolne, napisane z takimi błędami, że warto by je zachować dla jakiegoś muzeum osobliwości.

Wyjątki potwierdzają regułę. Trafiał się zapewne i wśród niemców osobnik o cechach Europejczyka (i ja takich poznałem), lecz z reguły był to brutalny typ, który niczym nie mógł nam zaimponować: kreatura z potwornej retorty hitlerowsko-himmlerowsko - goebelsowej. Nie dziwota, że przed tym człowiekiem ludy uciekały — wiedzione zrazu instynktem, później doświadczeniem — niby zwierzęta, gdy step się pali.

*Jan Piechocki*

*Marian Pelczar*

# BIBLIOTEKA MIEJSKA W GDAŃSKU I JEJ DZIEJE



ST. BRZĘCZKOWSKI DRZEWORYT
MOTYW GDAŃSKI

Habent sua fata libelli.

Na skraju ruin starego Gdańska stoi wyniosły, szczęśliwie z pożogi wojennej ocalały czerwony gmach Biblioteki Miejskiej. Nie piękny on, zbudowany około 40 lat temu w szablonowym stylu niemieckiego budownictwa z przełomu dziewiętnastego na dwudziesty wiek, co to niby dawne, ostrołukowe zabytki miał naśladować, a w rzeczywistości był dziwnym pomieszaniem krzyżackiego gotyku z architekturą nowo-pruskich kaszarowych budynków.

Lecz choć budowla ta niema w sobie nic z lekkości i powabu starogdańskich wspaniałych architektonicznych cacek, jakie w epoce późnego renesansu i baroku wznosili tu holenderscy, — a i polscy — budowniczowie, to jednak dobrze się stało, że gmach Biblioteki Miejskiej w Gdańsku wyszedł z wojennych działań zasadniczo nietknięty.

A groziła już i jemu, a raczej jego bezcennej dla nauki i kultury polskiej zawartości nieuchronna zagłada. Postradał on wszystkie niemal szyby, podmuchy upadających opodal bomb, czy inne detonacje zerwały prawie cały dach, lecz prawdziwym niebezpieczeństwem groziły artyleryjskie pociski, których kilka trafiło budynek. Jeden z nich (i to znacznego kalibru) przebił dach i górną część ściany oddzielającą magazyn książkowy od części administracyjnej budynku, wpadł na poddasze i... nie wybuchł. A mógł on, sądząc z rozmiarów spokojnie już leżącego, nieszkodliwego niewypału zrujnować znaczną część wnętrza. Inny mniejszy niewypał dopiero niedawno znalazły pracujące nad uporządkowaniem księgozbioru bibliotekarki wśród leżących na półkach książek.

Jeżeli do tego uprzytomnimy sobie, że tuż pod biblioteką na chodniku spłonął doszczętnie czołg, i że od żaru tego zwęgliły się okładki książek, stosami przy oknie ułożonych, sufit zaś parteru magazynu na znacznej przestrzeni jest silnie okopcony — a mimo to pożar nie rozszerzył się dalej, (czy też może jakaś nieznana, litościwa ręka ugasiła go w zarodku), — to rzeczywiście ocalenie zbiorów Biblioteki Miejskiej w Gdańsku uznaćby należało za wyjątkowo szczęśliwy fakt w bilansie ostatnich strat i zniszczeń polskiego kulturalnego dobytku.

A księgozbiór gdański stare posiada tradycje. Skupił on bowiem w sobie kilkuwiekowy dorobek gdańskiego kupiectwa i gdańskich uczonych, przede wszystkim z tego okresu, gdy portowy nadmotławski gród, jako wierny Rzeczypospolitej nadmorski jej bastion, rozległym handlem bogacił swych mieszczan i umożliwiał im nie tylko wygodne, dostatnie życie, lecz i nabywanie cennych dzieł, rękopisów, sztychów i obrazów, oraz poświęcanie się ciekawym i pasjonującym studiom.

Lecz choć już od dawna poszczególni gdańszczanie kollekcjonowali księgi i rękopisy, — to oficjalny początek istnienia miejskiego księgozbioru dopiero na schyłek XVI wieku przypada. I zgoła przypadkowa była też inicjatywa otwarcia biblioteki miejskiej.

W niedzielę, 25 sierpnia 1591 roku rozbił się tuż u gdańskich wybrzeży, niedaleko ujścia Wisły statek, będący własnością włoskiego markiza, Jana Bernarda Bonifacego D'Oria, neapolitańskiego wygnańca. Dziwny ten człowiek, nie mogąc wrócić do ojczyzny, od lat 35 tułał się po morzach podróżując bez celu i... bez kresu. Woził zaś ze sobą swój bezcenny skarb, kilkotysięczną bibliotekę, rozczytując się w księgach bez ustanku. Nakoniec i wzrok już postradał, lecz mimo to nie zaprzestał swej długoletniej wędrówki.

I właśnie u brzegów Gdańska, dokąd zresztą już poprzednio w swych podróżach docierał, zawistny los pozbawił go jego majątku. Sam markiz ledwo z życiem uszedł z opresji, z jego zaś księgozbioru zaledwie nieznaczną część uratowano. Stając bezradnie wobec widma głodowej śmierci zwrócił się ślepy starzec z niezwykłą pod adresem Rady Miasta Gdańska wyrażoną propozycją ciekawej transakcji handlowej. Oto ofiarowuje on Radzie Miejskiej resztki swej biblioteki, na pożytek uczącej się i żądnej wiedzy młodzieży gdańskiej, a za to otrzymuje zapewnienie spokojnego dożywocia, spokojnej starości w Gdańsku. Otrzymuje mieszkanie w dawnym pofranciszkańskim klasztorze, oraz pieniężne stypendium jednego florena węgierskiego tygodniowo na życie.

Takie były początki pierwotnej „Biblioteki Rady Miejskiej w Gdańsku", zwanej wówczas, jak i przez długie jeszcze lata „Bibliotheca Senatus Gedanensis", — dzisiejszej Biblioteki Miejskiej.

Rada Miejska w Gdańsku zdawała sobie należycie sprawę z wartości i znaczenia księgozbioru. Kiedy w kilka lat później, w pamiętnym dla dziejów książki w Gdańsku roku 1596, uchwalono otwarcie publicznej biblioteki w Gdańsku, to odnośny dekret Rady Miejskiej stwierdza, że dzieje się to: szkołom ku ozdobie, miastu ku upiekszeniu, a uczącym się ku zachęcie i ko rzyści.

Ale przyznać trzeba, że i przeciętny patrycjusz gdański umiał ocenić i dbać, i rzeczywiście dbał w ciągu minionych wieków o swój księgozbiór. Objął w nim rozległe dziedziny wiedzy, a przede wszystkim dzieje własnego miasta i dzieje szerszej swej ojczyzny, Rzeczypospolitej Polskiej, z którą obok handlowych łączyły go i żywe kulturalne więzy. Stąd zbiory Biblioteki Miejskiej w Gdańsku skupiły w sobie tyle materiału z Polską związanego i Polski dotyczącego, materiału, który, starannie i troskliwie w ciągu lat długich przechowywany, w ten sposób ocalał i dziś niejeden z unikatów dawnych polskich starodruków w Gdańsku właśnie i tu tylko się znajduje.

Już w następnym, po oficjalnym otwarciu biblioteki, roku sporządził na skutek starań

Rady Miejskiej, gdański rytownik Jonasz Silber piękny i gustowny ekslibris, przedstawiający herb miasta Gdańska. Ekslibris ten stale był odtąd używany do oznaczania książek księgozbioru miejskiego. A choć istnieją jeszcze późniejsze dwie jego odmiany, zasadniczy zrąb kompozycji pozostał niezmieniony.

W tym samym 1597 roku rozpoczyna się też i wzrost liczbowy biblioteki. Rada Miejska nabywa księgozbiory po trzech zmarłych gdańskich uczonych, teologu Aleksandrze Glaserze, prawniku Henryku Lemkem, oraz historyku Gdańska, a zarazem sekretarzu miejskim Kasprze Schützu.

W ślad za tym idą dalsze zakupy, darowizny i zapisy. Zwłaszcza wiek XVII przynosi ich sporo. W ten sposób wchodzą w skład biblioteki rozmaite księgozbiory prywatne mniejsze i większe. Będą to, zakupiony w 1632 roku, 450-tomowy zbiór księgarza Krauzego, czy nabyta w następnym, 1633 roku pokaźna biblioteka kaznodziei Nigrinusa, dwa i pół tysiąca tomów licząca. W tym samym wieku otrzymuje biblioteka miejska pokaźny dar książek po dwu bibliotekarzach gdańskich, braciach Adrianie i Benjaminie Engelcke, a inny Gdańszczanin, Rafał Knofiusz zapisuje jej w 1617 roku piękny zbiór muzycznych kompozycji, madrygałów i motetów, głównie włoskich kompozytorów z XVI wieku.

Nie mniej liczne są i nabytki z następnego wieku. Są to dary Karola Nimsgarta, — pełen rzadkich druków, liczący 3400 tomów księgozbiór Walentego Schlieffa, czy wreszcie również trzytysięczna biblioteka Michała Hanowa. Lecz wszystkie te darowizny i nabytki przewyższy i ilościowo i jakościowo wiek XIX. Wówczas to, (nie licząc drobniejszych nabytków) Biblioteka Miejska wchłonęła tak potężne zbiory, jak 3000 dzieł liczącą bibliotekę po zmarłym jeszcze w XVII wieku Henryku Schwarzwaldzie, bibliotekę Teodora Kniewela, ciekawy polski księgozbiór wielkiego miłośnika i znawcy języka polskiego, a zarazem nauczyciela tegoż języka w gdańskim gimnazjum akademickim, autora jednego z najlepszych polsko-niemieckich słowników i pierwszego po wielu latach wydawcę Klonowiczowego „Flisa" — Krzysztofa Mrongowiusza. W tym wieku również wejdzie w skład księgozbioru miasta Gdańska wspaniała, 15 tysięcy tomów licząca biblioteka wybitnego rajcy miejskiego i patrycjusza gdańskiego Jana Uphagena, który za zdecydowane antypruskie stanowisko w czasie pierwszego rozbioru Polski cenne upominki od króla Stanisława Augusta Poniatowskiego otrzymał.

Jeżeli do tego dodamy jeszcze nader cenne, specjalne biblioteki, historyków Löschina i Gralatha, znanego przyrodnika Kleina, archiwariusza Bertlinga, czy pastora Mundta, — to nic dziwnego, że księgozbiór miejski, liczący z końcem XVI wieku zaledwie kilka tysięcy dzieł dochodzi z początkiem XIX wieku do 26 tysięcy, w połowie tego wieku osiągnie 45 tysięcy, a około roku 1900 liczyć będzie już ponad 111 tysięcy tomów.

Mógł więc gdański badacz i uczony zdala od kupieckiego zgiełku i od kramnego pogwaru bud jarmarcznych w ciszy zdobywać upragniona wiedzę i dzielić się jej wynikami na posiedzeniach gdańskich naukowych towarzystw, na których często zasiadali i zabierali głos rozmaici, wybitni współcześni Polacy.

Temu ustawicznemu wzrostowi biblioteki odpowiadała i coraz to bardziej wzrastająca troska o wewnętrzne urządzenie i zachowanie, oraz udostępnienie księgozbioru.

Pierwszym pomieszczeniem Biblioteki stał się stary gmach pofranciszkańskiego klasztoru przy dzisiejszej ulicy Franciszkańskiej. Tam przecież mieściło się i gdańskie gimnazjum akademickie, tam studiowała gdańska młodzież, toteż umieszczenie w tym gmachu księgozbioru umożliwiało łatwe z niego karzystanie i uczącej się młodzieży i profesorem.

Księgi złożono na parterze w obszernych czterech pokojach, które niebawem dla odróżnienia ich poczęto zwać salą białą, żółtą, czerwoną i zieloną, a to od czterech kolorów sukna, jakim w poszczególnych pokojach poprzykrywano stoły i ławy. Trzy pierwsze barwy wzięto z kolorów heraldycznych herbu miasta Gdańska, wyobrażającego dwa białe krzyże przykryte złotą koroną na czerwonym tle, — kolor zielony symbolizować miał natomiast niedojrzałość umysłową studiującej młodzieży, która dopiero z biegiem lat, ucząc się nabierała mądrości i wiedzy.

Nad bibliotecznymi zbiorami czuwała stale Rada Miejska przez swych specjalnych delegatów. Byli nimi początkowo członkowie kollegium szkolnego, z biegiem jednak czasu pojawiają się specjalni opiekunowie księgozbioru, noszący miano protobibliotekarzy.

Długi ich szereg rozpoczyna jeszcze w połowie XVII wieku Gabriel Schuman, kończy zaś ze schyłkiem XVIII wieku Michał Groddeck. Rozmaici to byli ludzie, — z pośród jednak wielu na specjalną wzmiankę zasługuje wspomniany już ofiarodawca książek Adrian Engelcke, któremu biblioteka zawdzięcza pierwszy rzeczowo ujęty katalog, oraz Michał Hanow, który niemal przez pół wieku od roku 1727 do roku 1773 stał na czele biblioteki.

Jeżeli jednak coraz to troskliwsza opieka ze strony bibliotekarzy otaczała gdańskie zbiory, to równocześnie coraz bardziej zaczęło im zagrażać niebezpieczeństwo skutkiem nieodpowiedniego ich pomieszczenia. Pierwotne, aż za obszerne początkowo sale pofranciszkańskiego klasztoru zaczynały stawać się zbyt szczupłe przy wzroście biblioteki. Co gorsza wilgoć starych murów groziła samym księgom. Postanowiono przeto już z końcem XVIII wieku wybudować dla Biblioteki nowy gmach.

Wygotowano niebawem odpowiednie plany, przeznaczono znaczne sumy pieniędzy, mimo jednak starań energicznego burmistrza Gdańska Gralatha, człowieka o dużej wiedzy i kulturze, zdającego sobie dobrze sprawę z wartości i znaczenia nauki, nie udało się wówczas tych zamiarów w całości uskutecznić. Niestety nie była to bowiem pomyślna dla Gdańska epoka. Rok 1793 przyniósł Gdańskowi wraz z upadkiem Polski i przyłączenie do Prus, a następująca epoka Napoleońska i dwukrotne oblężenie miasta przypieczętowało jego materialną ruinę. O planach przeniesienia biblioteki nikt już nie myślał, a nowe, na pomieszczenie zbiorów przygotowane lokale zużyto na inne potrzebniejsze cele.

I byłaby może i zniszczała zupełnie wspaniała książnica miejska, gdyby nie niespodziewany, a szczęśliwy dla niej wypadek. Dnia 6 grudnia 1815 roku, skutkiem eksplozji prochów, wylatuje w powietrze tak zwana Baszta Prochowa, znajdująca się opodal kościoła św. Jakóba. Wokoło leżące domki zostają doszczętnie zniszczone, sam kościół św. Jakóba poważnie uszkodzony. Mieszkająca tu ludność musi przenieść się w inne strony, pozbawiona jest bowiem dachu nad głową. I wtedy powstaje myśl, by w opuszczonym kościele św. Jakóba umieścić zbiory biblioteczne. Myśl ta zyskuje uznanie odpowiednich czynników i mimo opozycji pewnych kół przeniesiono bibliotekę do nowej jej siedziby. 11 września 1819 roku zakończono transport książek, lecz na uporządkowanie ich potrzeba było jeszcze przeszło dwu lat czasu, tak, że dopiero dnia 3 października 1821 roku na nowo otwarto bibliotekę dla publicznego użytku.

Ale i ten nowy lokal nie odpowiadał w pełni wymogom bibliotecznym. Kiedy więc ustawiczny i coraz większy wzrost inwentarza wypełnił do reszty duże, przez całą długość dawnej kościelnej nawy ciągnące się sale, i kiedy nowe nabytki z braku miejsca stosami na podłodze układać zaczęto, powrócono do dawnej myśli sprzed stu lat, myśli wzniesienia specjalnego bibliotecznego budynku.

Tym razem zamiary zostały już w pełni zrealizowane. W 1904 roku wykończono ostatecznie nowy, obszerny już i stosownie do ostatnich ówczesnych bibliotecznych wymagań rozplanowany i urządzony budynek Biblioteki Miejskiej w Gdańsku, dzisiejsze jej pomieszczenie przy ul. Wałowej 16. W następnym zaś roku umieszczono w niej cały jej księgozbiór. Liczył on już wtedy 125 tysięcy tomów. W obszernym magazynie, na nowoczesnych półkach znalazły wreszcie odpowiednie dla ich wartości miejsce cenne starodruki, inkunabuły, rękopisy, w osobnej sali przechowywano sztychy, mapy i ryciny. Nowocześnie urządzona — choć bardzo szczupła — pracownia miała umożliwić należytą naukową pracę.

Lecz mimo tych technicznych udogodnień zbiory gdańskie w tym czasie nie przynosiły tej korzyści nauce, jaką przynosić by mogły i powinny. Nie czuwała bowiem więcej nad nimi troskliwa opieka dawnych protobibliotekarzy z XVII i XVIII wieku. Nowoczesny, niemiecki zarząd biblioteki w Gdańsku wyznawał już te same zasady, jakie przyświecały od końca XIX wieku Niemcom i ich nauce. Nie prawda i bezstronność lecz propaganda patronować miała naukowym badaniom. Nic więc dziwnego, że i w ostatnich latach, latach istnienia tak zwanego Wolnego Miasta Gdańska, mimo teoretycznego równouprawnienia Polaków z ludnością niemiecką Gdańska starano się nie dopuszczać polskich uczonych i badaczy do Biblioteki Miejskiej w Gdańsku, starano się jak najbardziej utrudniać im korzystanie z jej zbiorów.

Choć więc cyfra tomów naukowych dzieł Biblioteki przekroczyła już wtedy 250 tysięcy, choć przeszło 5 tysięcy rękopisów, kilkaset inkunabułów, kilka tysięcy starych rycin, map i sztychów zawierało wiele cennego materiału naukowego, głównie historycznego, dotyczącego przede wszystkim przeszłości Gdańska i jego do Polski stosunku — to jednak cała ta rozległa dziedzina badań naukowych leżała niemal zupełnie odłogiem, niedostępna prawie dla polskiego badacza.

I dopiero wiosna 1945 roku przyniosła i dla dziejów Biblioteki Miejskiej w Gdańsku zasadniczą zmianę. Na szczęśliwie z kataklizmu wojennego uratowanym gmachu powiewa od 10 kwietnia 1945 roku polska chorągiew. Stwierdza ona, że stare zbiory patrycjuszy gdańskich, dawnych wiernych poddanych Rzeczypospolitej, znowu we właściwe dostały się ręce, że z cennych, od wieków nagromadzonych dzieł, na nowo korzystać zaczną uczeni celem poznawania dziejowej prawdy i szerzenia jej po rozległych rubieżach nowej Rzeczypospolitej.

*Mrian Pelczar*

*Ewa Osten-Ostachiewicz*

# KALKOMANIE GDAŃSKIE

Miasto, którym był dawny Gdańsk — zawaliło się w gruzy, spłonęło, rozpierzchło. Pozostały opustoszałe ulice, rozbite sklepy z wypaproszonymi wnętrznościami, wśród zwalisk jakieś szczątki mebli; tu sterczy z gruzów pogięte, żelazne łóżko, tam kawał gzymsu, jakiś szczątek lampy zwisający od sufitu w pokoju bez ścian, strzęp firanki przy rozwalonej futrynie, wywleczony skądś materac. Jezdnie wpoprzek zawalone gruzem. Jakieś jedno, tamto miasto zakończyło swe istnienie.

Ucichła kanonada frontu, opadł pył ceglany, rozwlekły się dymy z wiatrami. Życie płynie dalej. Rozbite miasto, po chwilowym ogłuszeniu ciosami podchwytuje jego rytm. Głośno odbijają w ciszy ulicy kroki podkutych, żołnierskich butów. Zgrzytają narzędzia przy usuwaniu gruzów, pył ceglany na nowo wzbija się w górę. Posuwiście przelatuje samochód z generalicją, klaszcząc oponami o mokry asfalt. Oddział wojska wybija rytm obcasami. Kolumna ciężarowych samochodów — jakieś strzały: niby echo wojny. Pod bramami domów snują się cywile.

I nagle, jak w uwerturze — po pianissimie bucha gwałtowne forte — to życie, wiecznie nieśmiertelne wzbiera nową, spienioną falą. Samochody prześcigają się wśród naglących nawoływań klaksonów. Pociągi — gdzieś z poza miasta wypluwają szary tłum z pustymi walizami i plecakami i wchłaniają w siebie bliźniaczy tłum z tobołami, pierzynami, pakami, pękającymi od zawartości. I oto w Centralnej Polsce po wsiach i miasteczkach, a także na wszystkich karcelakach wielkich miast poczynają ukazywać się okruchy rozbitego miasta. Rosenthal'owski imbryk do kawy w kolorowe kwiatki, pracowicie wyszywany fartuch, pierzyna w kratkę, jakieś ręczniki zahaftowane na czerwono lub niebiesko napisami gdzie jest i „Gott" i „Frisches Wasser" i „Morgen".

A w mieście — biało-czerwone chorągwie łopocą na wietrze od morza. Gdzieś jakiś urząd wywiesił nowy szyld. Następnego dnia już cztery takie szyldy wiszą w różnych punktach miasta. Jadą wozy z meblami. Murarze wstawiają świeże łaty z czerwonej cegły w poszczerbione mury. Ceberek z wapnem, rusztowanie, kupa piasku. Jakaś futryna okienna jaśnieje świeżą barwą surowego drzewa. Zachodzące słońce przegląda się czerwonym odblaskiem w świeżo wstawionych szybach. Biało-czerwone kokardki w klapach płaszczy, biało-czerwone opaski na przedramieniach funkcjonariuszy i te z czerwonym krzyżem. Gdzieś jakieś „punkty" rozdzielają zupę.

Pewnego dnia wielki szyld obwieszcza otwarcie restauracji. Kiełbasa, chleb, wódka. Ceny — zamraczające. Innego dnia z placu przed dworcem wyrusza autobus dla pasażerów. Co chwilę napotkać można stłoczone grupki ludzi. Co się stało? Nieszczęście? Wypadek? Nie, to Niemka sprzedaje firanki. I jedna wielka ciżba stłoczona na placu. To rynek. Słonina i ciuchy.

Jakaś źle utleniona, źle umalowana ale energiczna warszawianka płynną i obfitą polszczyzną przekonuje otępiałą Niemkę o swojej racji. Obie trzymają szmatkę, będącą obiektem dyskusji.

— Więc, moja pani, bo nie mam czasu niech będzie moja krzywda, no? mówię: zwanzig und... pięć!

Przechodzisz dalej. Pytasz o jakąś ulicę. Nikt nie wie. Wszyscy nietutejsi. Bywalcy dodają radę: niech pani spyta Niemca.

I to był pierwszy dla mnie znak, że Gdańsk już mieszka — gdy spytałam o jakąś ulicę i zagadnięty przechodzień wskazał mi kierunek. Pytam kiedy indziej — ten nie wie, ale zaraz ktoś zatrzymuje się i służy informacją. I nagle szereg faktów zaczyna potwierdzać to zjawisko. Już kobiety z koszykami idą na rynek — po prowianty. Jakaś staruszka stuka laską w chodnik, dziecko z tornistrem biegnie ulicą. Idzie pani z wózkiem, w wózku — nie żadna maszyna do szycia, tylko autentyczne niemowlę. Drobnym truchcikiem przebiega jezdnię (nieprawidłowo!) warszawska elegantka. Misternie pozwijane tlenione loczki, maquillage, manicure, jakaś ocalała z pogromu stolicy kreacja Goussin, czy Thonet, na nogach Leszczyński. Kobieta w ciąży. Kaleka. To są stali mieszkańcy miasta.

Ulicą idzie starszy pan. Jest pełen werwy i pionierskiego rozmachu. Kapelusz z czoła, w ręku laseczka, ubranie nieszczególne, ale to dziś jest w modzie. Idę nie-postrzeżenie za nim, bo dziwnie mnie fascynuje ta sylwetka — skądś go znam. Wchodzi właśnie do mego domu — i nagle — metamorfoza!: znika nonszalancki spacerowicz, plecy się garbią, ręce zaczynają się trząść, nawet wiotka laseczka staje się nagle sękatą podporą nieszczęśliwej starości. Pukanie do drzwi. Wiem, że nikt nie otworzy, bo nikogo nie ma. Politowania godny staruszek odwraca się ku mnie i —

—Paniusiu łaskawa...

Tak jest! Znam go! — To żebrak z Warszawy. I on też przyjechał na pionierskie występy.

W niedzielę — Aleja Grunwaldzka — czy Jerozolimskie? Tata, mama, kilkoro drobiazgu, wypucowane, błyszczące twarze i buty, włosy przyczesane na mokro, odświętne garnitury, rozprasowane falbanki, w warkoczach wstążki, sztuczna powaga, parasolka, koafiura, pantofle na koturnach — rodzina. Zadomowieni. Gdańszczanie. Ci nowi. Chodzą po zacichłych ulicach rozgromionego miasta. Przyglądają się. Zadzierają głowy do góry. Czasem coś zobaczą.

— Mamusiu, patrz, tam na górze z muru wygląda głowa.

— To nie głowa. To rzeźba — informuje z powagą matka.

Gdańsk. Rozczulający dworzec z okręcikiem i insygniami nawigacyjnymi, niby dziecinna malowanka. Taka co to moczy się palec w wodzie, aby zetrzeć wierzchnią warstwę papieru, z pod której wyłania się bardzo kolorowy obrazek. Kalkomania się to nazywa. Jeśli trze się zbyt gwałtownie, można uszkodzić obrazek. Tak też właśnie stało się z dworcem gdańskim. Zbyt silnie został dotknięty palcem wojny. Zresztą całe miasto wygląda jak szczątki kalkomanii.

Zadumane kanały pod niskimi mostkami, niby lustra w starym zamczysku, odbijające w zielonkawej tafli szczątek muru — do połowy zerwaną kolumnę, — stiuk — rzeźbioną twarz o bolesnym wyrazie, wychylającą się z muru. I twarze te i sylwetki rzeźb na gdańskich domach nadają jakiś dziwny wyraz umarłemu miastu. Coś, jakby zwłoki Pompejańczyków zakrzepłe w lawie. Tkwi w nich jakaś nieśmiertelność wyrazu. Są, istnieją. Istnieją tym bardziej, im bardziej przestało żyć miasto — ci kamienni mieszkańcy, ożywieni duchem Sztuki.

Dusza boli, gdy patrzy się na to miasto tak piękne i tak zdewastowane. Dusza boli. Ale nie serce. To po gruzach Warszawy chodzi się każdym stąpnięciem depcząc



ST. BRZĘCZKOWSKI DRZEWORYT
MOTYW GDAŃSKI

własne serce. Tu żałuje się unicestwionego piękna. Tam — żal każdej kropli krwi serdecznej, każdego zwykłego piaskowca, który był żywym wspomnieniem, a rozsypał się w gruz.

„Jedźmy — nikt nie woła..."

Każdy już zna gigantyczny, wspaniały kościół Marii, wznoszący swe kolumny bezpośrednio w niebo, wskroś rozwarty bomba strop. Gdzieś pod sklepieniem zaczepione drzewce kościelnej chorągwi ze strzępkami materii targanej wiatrem. Szczątki witraży i na pokratkowanym szkielecie niebotycznego okna czerni się smukła sylwetka krzyża. Podziemia z wyschniętymi jak mumie nieboszczykami — Pompeja.

I giełda — pełna jakichś żelaznych koronek o wytwornym rysunku, jakichś złoconych rzeźbień, wyglądających raczej na skarby z kufra prababki, niż na fragmenty bram, ścian, framug okiennych — tak delikatne są w rysunku. Merkury — biedny kaleka z utraconą nogą. To znów jakieś niskie, starodawne, krzepko sklepione wejście do piwiarni, gdzie kufle piwa spijali zażywni gdańscy kupcy.

I „wieża chłosty" — stara jak sam Gdańsk, podwórzec z paszczami krokodyli, które pewno miały za zadanie siać grozę w dusze mieszkańców. I jakieś popiersie kata, czy też innego przedstawiciela prawa — w cylindrze. Śmieszne, rozczulające zabawki z okresu ludzkiego dzieciństwa. Jakiś loszek, jakaś krata, kręte schodki, starte przez pokolenia nóg.

I na haku, na którym ongiś wieszano skazańca — ktoś współczesny — o dziecinnej duszy — powiesił portret Hitlera, wycięty z gazety. Przypominają się jakieś egzorcyzmy, jakieś wiedźmy, księżyc, miotła i czarny kot, północ bijąca na zegarze, przekłóte szpilką serce.

Stary ratusz. Ciężka dębowa brama, jakieś sale przestronne, w których jacyś radni, mieszczanie, debatowali o potrzebach miasta. Rozwarta przez bombę rama w murze ukazuje jedną z sal, pośrodku której zwisa z sufitu wielki kandelabr — ostatni świadek zebrań.

Jakaś wąska uliczka, zwężona dodatkowo do rozmiarów ścieżki poprzez nawalony po obu stronach gruz. Jakieś latarnie, rozchybotane na wsze strony i zastygłe w nienaturalnych odchyleniach w bolesnym osłupieniu. Znak drogowy na bakier z ulicą — i żyto rosnące na gruzach. La vie est morte — vive la vie!

*Stanisław Matysik*

# MY, A NIE ONI

W ostatnich dniach listopada ub. r. rozpoczęły się pierwsze wykłady na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jeszcze przed uroczystościami związanymi z inauguracją pierwszego roku akademickiego tej najmłodszej wyższej uczelni w Polsce, które mają się odbyć w pierwszych dniach stycznia 1946 r. — rozpoczęły pracę Wydziały Prawa i Nauk Społecznych, Humanistyczny wraz z Sekcją Sztuk Pięknych i Matematyczno-Przyrodniczy. Rozpoczęcia wykładów nie odroczyło nieukończenie przeprowadzanego remontu w gmachu Collegium Maior (b. Województwo), ani tysiączne inne trudności. Znaczna część profesorów przybyła już do Torunia, młodzież zjechała się gromadnie i z wielkim zapałem wzięła się do nauki. Uniwersytet Mikołaja Kopernika stał się faktem dokonanym.

Historia starań i zabiegów o utworzenie uniwersytetu na Pomorzu jest bardzo obszerna. Źródłowo i dokładnie opracował ją ks. Alfons Mańkowski w rozprawie zatytułowanej „Dzieje myśli uniwersyteckiej na Pomorzu" (Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu, rocznik XXXII, 1925). Od drugiej połowy XIV wieku toczyła się z mniejszym lub większym nasileniem dyskusja w tej sprawie. Na przestrzeni prawie sześciu wieków stale rzucano myśl stworzenia wyższej uczelni na Pomorzu. O tej dyskusji znaleźć można wiele ciekawych szczegółów w pracy Zygmunta Mocarskiego „O potrzebie wyższego szkolnictwa na Pomorzu" (Toruń 1938), oraz w „Pamiętnikach Instytutu Bałtyckiego" tom XXV („Dostęp do morza — Zagadnienie pomorskie — Wspólnota Bałtycka") część III „Sprawa wyższej uczelni na Pomorzu".

Odsyłając czytelnika, który chciałby poznać dokładnie wielowiekowe starania najróżniejszych czynników i kół społecznych a zmierzające do utworzenia uniwersytetu na Pomorzu — zajmijmy się jednym, dość charakterystycznym głosem w tej dyskusji na temat przyszłego uniwersytetu. Na wstępie trzeba stwierdzić, że przez sześć stuleci zmagały się dwie koncepcje, dwa usiłowania — jedno wychodzące ze sfer polskiej ludności, drugie wywodzące się od Krzyżaków jeszcze, podjęte później przez napływową mniejszość niemiecką. Rzecz jasna, że różne były cele tych dwu projektowanych uniwersytetów. Podczas gdy projekt polski przewidywał zawsze stworzenie z tej wyższej uczelni bastionu obronnego kultury polskiej w obronie przed zalewem germańskim — to projekt niemiecki nawoływał do wystawienia tu „na wschodzie" fortecy ducha pruskiego, w postaci niemieckiego uniwersytetu z jawnymi celami germanizacyjnymi.

I tak „Thorner Zeitung", gazeta wychodząca w Toruniu przed pierwszą wojną światową zamieściła w nr 202 z dnia 31. VIII. 1881 felieton-fantazję na temat przyszłości; jak to będzie w Toruniu za 50 lat — pt. „Das 700-jaehrige Jubilaeum Thorns" = „700-letni jubileusz Torunia". Felieton ten zawiera list studenta uniwersytetu w Toruniu z 31. VIII. 1933 r. (roku jubileuszu Torunia). Dowiadujemy się z tego opowiadania o wielu ukrytych marzeniach autora, odbijających zresztą wiernie marzenia większości Niemców. Obok opisu uroczystości jubileuszowych, powitania koronowanych głów wielu krajów (ale wszystkich niemieckiej narodowości) dochodzimy wreszcie do szczytowego momentu tej uroczystości. Na marginesie warto zaznaczyć, że autor felietonu zdołał „przyłączyć" w nim do Prus tereny polskie z pod ówczesnego zaboru rosyjskiego, aż pod... Mińsk, i uważał, że Toruń w tym roku będzie równy wielkością Wrocławowi.

Otóż „gwoździem" tego jubileuszowego zjazdu w Toruniu koronowanych niemieckich głów i szeregu wybitnych osobistości z całego świata, jest wykład bardzo uczonego niemieckiego profesora o wymarłym języku polskim i wygłoszenie przez niego w tym zupełnie już zaginionym języku „Ojcze nasz" i „Jeszcze Polska". Wprawdzie krytyka zarzuciła czcigodnemu uczonemu, że jeszcze przed 50-ciu laty każdy szewc lub krawiec w Toruniu mówił tym językiem, ale piszący list student pyta się w nim swego dziadka, czy to możliwe, aby w Toruniu przed 50-ciu laty żyli ludzie mówiący po polsku. Ów wyimaginowany student dodaje, że odkryto w archiwum miejskim egzemplarze „Gazety Toruńskiej" (pismo polskie wychodzące współcześnie z Thorner Zeitung).

Takie oto pobożne życzenia towarzyszyły niemieckiej myśli o uniwersytecie w Toruniu. Wprawdzie odpowiedzi na omawiany felieton udzieliła natychmiast wspomniana „Gazeta Toruńska" przewidując w niej, że za 50 lat „uczeń elementarnej szkoły ewangelickiej, niejaki Schultze, przesyłając koledze zachowany numer gazety niemieckiej naśmiewać się będzie w liście pisanym po polsku „co też za głupstwa ludzie przed pięćdziesięciu laty pisywali po niemiecku w Toruniu"!

Od czasu ukazania się tych dwu artykułów minęło przeszło 64 lat. Niemieckie marzenia nie spełniły się — a niniejsza notatka jest niejako dowodem, że „Gazeta Toruńska" była bliższa prawdy.

W Toruniu rozpoczął w tym roku działalność Polski Uniwersytet Mikołaja Kopernika. Polacy, a nie Niemcy stworzyli ten Uniwersytet. Wobec naprawdę szerokiej dyskusji i rozlicznych nieudałych prób niemieckich (w wieku XIV Krzyżacy posiadali już bullę papieską zezwalającą na otwarcie uniwersytetu w Chełmnie) fakt ten posiada doniosłą wymowę. „Kulturtraegerzy" nie zdobyli się w ciągu wielu setek lat na to, na co zdobyła się Polska w pierwszych 10-ciu miesiącach od chwili uwolnienia od najstraszliwszej okupacji. Ogrom pracy wykonanej przez szczupłe stosunkowo grono osób nad dźwignięciem z niczego dosłownie Uniwersytetu M. Kopernika jest godny najwyższego uznania. Rzadko które pokolenie było świadkiem stworzenia nowej wyższej uczelni. A w tak ciężkich warunkach — stwierdzić to można z całą pewnością, bez żadnej przesady — nigdy chyba żaden uniwersytet nie powstawał.

Przypominając według śp. Zygmunta Mocarskiego niemieckie pobożne życzenia z 1881 roku, aktualne dziś wobec rozpoczęcia wykładów na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, stwierdzamy z dumą i radością, że nowe to ognisko wiedzy i kultury powołały do życia polskie mózgi i ręce. I chociaż dużo jeszcze jest do zrobienia, potrzeby Uniwersytetu są olbrzymie, to jednak już obecnie powiedzieć możemy za Żeromskim, że nie „chytra nienawiść Smętka, ale twórcza miłość i przywiązanie do Polski" stały się fundamentem, na którym stanął Uniwersytet Mikołaja Kopernika.

Tak jak o wielu innych pomyślnych poczynaniach kulturalnych Polski na Pomorzu, możemy stwierdzić z głębokim zadowoleniem, które winno nam być podnietą do dalszej pracy, że Wyższą Uczelnię na Pomorzu dźwignęliśmy my — a nie oni.

# PIERWSZA KSIĄŻKA O SZCZECINIE

Do niedawna jeszcze żołnierz polski bagnetem wypisywał prawa nasze do ziem zachodnich. Czas już obecnie, by uczony, artysta i pisarz polski, zbierając na przestrzeni tysiąclecia szczątki śladów życia ojców naszych na tych obszarach, zadokumentował piórem to, co wywalczył żołnierz orężem. Ziemie zachodnie czekają na monografie. Nie zastąpi jej wydana w ostatnich dniach książka p. t. „Szczecin dawniej i dzisiaj". Skromna książeczka nie może sobie rościć pretensji do wyczerpania przedmiotu, stanowiąc zaledwie dobry początek. Nie jest więc „Szczecin dawniej i dzisiaj" pracą pomnikową na jaką zasługuje gród Trigława, nie mniej jednak witamy pierwszą książkę o Szczecinie życzliwie, znając niezmierne trudności wydawnicze na tym terenie, jako zapowiedź przyszłych prac już naukowo opracowanych.

Skromnie, lecz estetycznie wydana książka z licznymi ilustracjami i szkicem orientacyjnym przedstawia dla nowo osiedleńców dużą wartość, zawierając bogaty materiał informacyjny, a równocześnie stanowi ciekawy i pożądany dokument.

Na treść składa się szkic historyczny Pomorza Zachodniego, krótki zarys historyczny miasta Szczecina i jego rozwoju od lat najdawniejszych aż do wyzwolenia przez Armię Czerwoną, garść szczegółów o życiu Polaków w mieście przed wojną, o ludności i obszarze Szczecina w różnych czasach. Następne rozdziały mówią o Szczecinie dzisiejszym. Mówią o naprawdę pionierskich i uporczywych wysiłkach naszego zespołu osiedleńczego, który trzy razy wracał w mury miasta, by zaszczepić tu życie polskie i zająć staro piastowski gród ten już na zawsze.

Naprawdę Szczecin może być dumny, że mimo specyficznie tu panujących warunków, potrafił w krótkim czasie zorganizować życie w mieście, uruchomić kolej polską, pocztę, telefony, elektrownie, wodociągi i kilka linii tramwajowych, zorganizować szkolnictwo powszechne i średnie, życie naukowe i kulturalne.

„Szczecin dawniej i dzisiaj" powinien rozejść się po kraju, budzić szacunek dla wytrwałych pionierów i zachęcić do gromadnego osiedlania się w tym starym grodzie słowiańskim, powracającym po siedmiuset latach do Macierzy. **Mik.**

# KRONIKA

## OCHRONA ZABYTKÓW NA POMORZU

Fachowa opieka nad zabytkami sztuki na obszarze naszego województwa ma obecnie po dwukrotnym przejściu wojsk walczących, ważne, odpowiedzialne i trudne zadanie. Pobieżna rejestracja strat i zniszczeń nieruchomych zabytków sztuki na terenie Pomorza wykazała, że przeszło 150 obiektów uległo uszkodzeniom na skutek działań wojennych.

Z miast najbardziej ucierpiał Grudziądz (wskutek kilkutygodniowego oblężenia) oraz Chojnice (ważny kolejowy punkt węzłowy).

Sześcioletni okres w czasie okupacji bez opieki fachowej nad budowlami zabytkowymi również walnie przyczynił się do dewastacji (zniszczone dachy, zacieki, wilgoć itp.). Z początkiem czerwca objął stanowisko konserwatora pomorskiego prof. Jerzy Remer. Niemożność uzyskania środków lokomocji w tej mierze, jaką przewidywał zakres pracy, uniemożliwiała często wyjazdy inspekcyjne dla stwierdzenia skali strat i zniszczeń wojennych, jak i też kontroli prac wykonywanych za zezwoleniem konserwatora. Mimo szczupłych kredytów Ministerstwa Kultury i Sztuki i dzięki subwencjom z Ministerstwa Odbudowy zdołano przekazać pewne kwoty na prace remontowe i zabezpieczające zabytków w: Brodnicy: Wieża Chełmińska i Wieża Mazurska (XIV—XV wiek); Bydgoszczy: Fara (1460—1502), Kościół Klarysek (1582—1615), Kościół Garnizonowy (fund. 1480); Chełmnie: Brama Grudziądzka (gotyk przebudowany w XVI w.); Chełmży: Kościół Pokatedralny (fund. 1251—1350); Chojnicach: Kościół Farny (ok. 1340—1360); Grudziądzu: Kościół Farny (ok. 1310—1350), Kościół O. O. Jezuitów (1682—1715), śpichlerze (XIV—XVII w.); Inowrocławiu: Kościół Panny Marii (pocz. XII w.); Koronowie: Kościół Pocysterski (XIV—XVII w.); Kościelcu: Kościół św. Małgorzaty (XII—XVI w.); Kruszwicy: Kolegiata (XII w.); Łabiszynie: Kościół Poreformacki (1731); Pieraniu: Kościół Parafialny (koniec XVI w.); Starogrodzie Chełmińskim: Kościół św. Barbary (1754); Szubinie: Kościół św. Marcina (XV do XVIII w.); Świeciu: Kościół Farny (XV w.); Toruń: Bazylika św. Jana (XIII w.), Panny Marii (XII w.); Dom zabytkowy: „Pod Modrym Fartuszkiem", Śpichlerz gotycki (ul. Rabiańska), Dom zabytkowy klasycystyczny (pocz. XIX w.); Toruniu Podgórzu: Kościół O.O. Reformatorów (XVII w.); Włocławku: Dom Barokowy przy Starym Rynku, Kościół O. O. Reformatorów (XVII w.).

Wielkim utrudnieniem w pracy konserwatora jest brak wszelkich orzeczeń konserwatorskich oraz wszelkiego materiału dot. zabytków pomorskich z dawnego Oddziału Sztuki Urzędu Woj. Pomorskiego w Toruniu. Zaczęto więc pracę od podstaw, od nowa, gromadząc zdjęcia fotograficzne, klisze, pomiary budowli zabytkowych, opisy, rysunki itd. Materiał ten, jak: wykaz wszystkich zabytków nieruchomych, który obecnie jest w opracowaniu, będzie podstawą do wydania nowych orzeczeń konserwatorskich, jak stworzenia kartoteki nieodzownej w pracy nad ochroną zabytków sztuki.

Akcja zabezpieczenia zabytków ruchomych przy wykonywaniu reformy rolnej dała minimalne rezultaty. Dużo wyjazdów dało wynik negatywny. Fakt ten tłumaczyć należy tym, że właścicielami ziemskich majątków byli w czasie okupacji Niemcy, i ci w porę wywieźli najcenniejsze zbiory z dworów i pałaców



PIĘKNA MADONNA TORUŃSKA
(ok. 1410)

w głąb Niemiec. Przy pomocy referentów powiatowych Kultury i Sztuki — gromadzi się zabezpieczone zabytki w punktach zbornych, jakimi są Powiatowe Referaty Kultury i Sztuki, skąd zostaną — w formie depozytów — przekazane do lokalnych Muzeów, względnie do Bydgoszczy, czy też Torunia. Główny akcent w pracy przy zabezpieczaniu zabytków ruchomych położono na zwiezieniu „ewakuowanych" zbiorów muzealnych z Bydgoszczy i Torunia.

Najcenniejsze obiekty muzealne okupant niemiecki już w 1942 roku rozpoczął „zabezpieczać" przed nalotami nieprzyjacielskimi, wywożąc je do dworów i miasteczek na terenie naszego województwa oraz w głąb Rzeszy. W ramach akcji zwózkowej opracowanej i przeprowadzonej przez referentów Oddziału Muzeów i Ochrony Zabytków Urzędu Woj. Pomorskiego zbiory te zostały zwiezione do swych właściwych muzeów. Akcja zwózkowa objęła także zabytki sztuki kościelnej ewakuowane z kościołów toruńskich. Między innymi przytransportowano z Złotorii do Bazyliki św. Jana — Krucyfiks drewn. z pocz. XVI w. oraz tryptyk św. Wolfganga z ok. 1505 roku, a do Kościoła św. Jakuba rzeźbę drewnianą (2,07 m) z 2. poł. XIV w.: Madonnę z Dzieciątkiem na księżycu. Wywieziona z Bazyliki św. Jana t. zw. „Piękna Madonna" z ca. 1410 r. wykonana z piaskowca mimo usilnych poszukiwań nie została do tej pory ani odnaleziona, ani też nie zdołano stwierdzić, ile jest prawdy w wersji o wywiezieniu figury w okolicę Marburga.

E. Krygier.

## POMORSKA ROZGŁOŚNIA POLSKIEGO RADIA

Początkowa faza działalności programu Pom. Rozgł. P. Radia w Bydgoszczy załamywała się o przeszkody dwojakiego rodzaju: prymitywnie urządzone instalacje techniczne, studia nie przygotowane należycie do nadawania audycji — to główna przeszkoda. Druga — był brak odpowiedniej, jeśli wolno tak powiedzieć „atmosfery", sprzyjającej należytemu rozwojowi programu. Bydgoszcz przedwojenna nie posiadała tradycji radiowej. Studio w gmachu nieistniejącego teatru, to słaba więź łącząca społeczeństwo bydgoskie z radiofonią polską przed wojną. Audycje nadawane stosunkowo rzadko, „po kablu toruńskim" na ogólno-polską falę, nie zdążyły wzbudzić należytego zrozumienia i zainteresowania szerokich warstw społeczeństwa Bydgoszczy. Nic więc dziwnego, że uruchomienie Pomorskiej Rozgłośni nie było przyjęte z takim nasileniem radości, jaką ze zrozumiałych powodów okazały inne miasta polskie, które odzyskały swoje przedwojenne rozgłośnie.

Trudno było pomorskiemu programowi radiowemu skupić wokół siebie należytą ilość prelegentów, wykonawców słowa żywego, muzyków, solistów itp. Trudno było zmontować program, odpowiadający potrzebom i zaciekawieniom Pomorza. Minęła pierwsza, wstępna faza pracy: program okrzepł i „stanął na pewniejszych nogach". Rozgłośnia Pomorska rozporządza dziś radiostacją o sile 0,8 KW, studiami w Bydgoszczy i w Toruniu, posiada zespół rutynowanych, zakochanych w pracy radiowej pracowników — z każdym dniem wzrasta ilość zarejestrowanych radiosłuchaczów. Program Pomorskiej Rozgłośni jest już dziś poważnym wkładem w kulturę Pomorza, obudzoną z sześcioletniego snu wojennego. Idzie po linii wydobycia na powierzchnię wszelkich wartości kulturalnych, związanych z życiem społeczeństwa pomorskiego, zarówno jeśli idzie o słowo żywe jak też o muzykę. Pomijam w tej chwili wszelkie audycje dotyczące fachowych zagadnień życia, niełączących się ściśle z kultura i sztuką we właściwym tych wyrazów znaczeniu. Jeśli idzie o muzykę: — z dużym trudem zorganizowana orkiestra Polskiego Radia licząca 18 osób, nad którą czuwa Michał Relski, przedstawia dziś najpoważniejszy tego rodzaju zespół muzyczny na terenie Pomorza. Stałe koncerty, dawane przed mikrofonem jak również ostatnio występy publiczne, są oczywistym dowodem, że tak jest istotnie. Potwierdzają to krytyki muzyczne miejscowej prasy. W ubogim stanie kultury muzycznej Pomorza, zespół ten należycie uzupełniony, może się stać reprezentacyjną orkiestra Pomorza. W radiowym programie orkiestry Polskiego Radia, coraz częściej wykonywane są utwory, oparte na melodiach ludowych. Niestety, zachowała się niewielka ilość materiału ludowej muzyki. — Niemcy z niezwykłą zaciętością nuty takie niszczyli — trzeba je teraz mozolnie rekonstruować. Misję wskrzeszenia tych właśnie melodii ludowych podjęła przed mikrofonem studia toruńskiego kapela Franka Małego — kujawiakami i oberkami coraz częściej odzywają się głośniki mieszkańców miast i wsi pomorskich. Przed mikrofonami Bydgoszczy i Torunia wystąpiła już pokaźna ilość solistów, zyskując sobie uznanie słuchaczów. Nadano ponadto cały szereg reportaży muzycznych z płyt, celem obudzenia wśród szerokich warstw społeczeństwa większego umiłowania muzyki o walorach artystycznych.

Dział Literacki Pomorskiej Rozgłośni ma już za sobą pokaźny dorobek w sensie nadania całego szeregu audycji posiadających bezsprzecznie dużą wartość. Od dłuższego czasu nadawana jest audycja periodyczna: myśl postępowa i demokratyczna w literaturze polskiej. Celem tej audycji jest nakreślenie historycznego rozwoju tendencyj postępowych w społeczeństwie, na podstawie dzieł czołowych przedstawicieli literatury polskiej. Oblicze klasowe naszej literatury zarysowuje się w tych audycjach bardzo wyraziście. Wygłoszono dotychczas przed mikrofonem 20 referatów tego typu, opracowanych przez naukowców i literatów Bygoszczy i Torunia najbardziej do tego powołanych. Ściśle współpracowano z miejscowym klubem literacko-artystycznym: nadano wespół z tą instytucją dużą ilość wartościowych audycji, połączonych z recytacjami poezji i prozy artystycznej. Kwadranse literackie oprócz literatury współczesnej obejmuja również literaturę obcą a nawet starożytną; dzieje się to dzięki życzliwej współpracy profesorów Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Wobec błędnej wymowy polskiej społeczeństwa pomorskiego rozgłośnia ma zamiar wprowadzić do programu stałą audycje „skrzynki językowej", którą powierzy wybitnemu językoznawcy-slawiście. Radiowy „Teatr Wyobraźni" zarówno w Bydgoszczy jak i w Toruniu ma już za sobą pokaźną ilość wszelkiego rodzaju audycji słuchowiskowych. Nadano kilka słuchowisk oryginalnych z których jedno ściśle łączyło się z tragiczną przeszłością Bydgoszczy („Powrotna fala" — o krwawej niedzieli). W okresie świątecznym nadano drugie oryginalne słuchowisko napisane przez młodego literata bydgoskiego: „Wigilia na wyspie Rugii". Najmłodsi radiosłuchacze wysłuchali całego szeregu audycji dla nich przeznaczonych.

Wśród wykonawców przeważaja artyści „Teatru Polskiego" i „Teatru Ziemi Pomorskiej". jakkolwiek nie brak zupełnie dobrych wykonawców z poza teatru, którzy dzięki częstemu występowaniu przed mikrofonem stają się coraz lepszymi aktorami radiowymi. Ma to dużą wartość dla pracy rozgłośni, bo przecież nie zawsze może ona korzystać ze współpracy aktorów scenicznych zajętych w teatrze. Program audycji słuchowiskowych unika na ogół tematów smutnych, zdając sobie sprawę, że radiosłuchacze dość mają tragicznych wspomnień 6-ciu lat niewoli. Jest jednak w programie stała pozycja, której zadaniem jest uprzytomnić słuchaczom — wszystkie krzywdy, jakich ludność Pomorza zaznała w okresie niewoli niemieckiej. Każdego piątku mikrofon Bydgoszczy oskarża („Pomorze oskarża!") naród niemiecki za wszystkie popełnione zbrodnie. Zdając sobie jednak sprawę, że wesoła choć niejednokrotnie zgryźliwa satyra jest w obecnych czasach nader potrzebna i pożyteczna, program Pomorskiej Rozgłośni stworzył audycję satyryczną nazwaną „Pokrzywy nad Brdą". Audycji takich nadano 31 (raz na tydzień). Rzecz dziwa, ta właśnie audycja, którą sami twórcy nazwali „nonsensem radiowym", obok „koncertów życzeń" stała się najpopularniejszą, najchętniej słuchaną audycją przez najszersze warstwy społeczeństwa.

Pomału Bydgoszcz przyzwyczaja się do faktu, że obdarzono ją rozgłośnią. Radiosłuchacze coraz żywiej reagują na program radiowy pisząc listy z krytyką niejednokrotnie bardzo rzeczową i sugestiami, którym nie można odmówić słuszności. W najbliższym czasie — po uruchomieniu kabla Pomorska Rozgłośnia Bydgoszcz i Toruń odezwie się na fali ogólnopolskiej, ale już dziś możemy stwierdzić: Pomorska Rozgłośnia Polskiego Radia w Bydgoszczy dobrze spełnia swoje zadanie, jako czynnik kultury Pomorza.

Z. K. G.

## ZJAZD PLASTYKI POMORSKIEJ

W dniu 2 grudnia 1945 odbył się w Bydgoszczy pierwszy walny zjazd Okręgu Pomorskiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Na zjazd przybyło kilkudziesięciu członków związku, reprezentujących najważniejsze środowiska Województwa Pomorskiego. Zjazd ten stanowić będzie niewątpliwie ważną datę w pomorskim ruchu kulturalnym, gdyż nigdy dotąd plastycy polscy w takiej liczbie nie gromadzili się w stolicy Pomorza, by obradować nad najżywotniejszymi sprawami ruchu artystycznego regionu, w którym przypadło im twórczo pracować. Wśród zgromadzonych na zjeździe znaleźli się art.-plastycy noszący znane nazwiska i mający ustalone w sztuce naszej pozycje, znalazły się również młode, dobrze zapowiadające się talenty pomorskie. W trakcie całodziennych obrad poruszono szereg najżywotniejszych problemów związanych z wyjątkowym charakterem misji polskiego artysty na terenach Pomorza. Przedyskutowano także sprawy zawodowe i organizacyjne Związku. Podstawą dyskusji był obszerny referat przewodniczącego ustępującego zarządu, Mariana Turwida, dający pogląd na dotychczasowe wysiłki twórcze i organizacyjne artysty polskiego na Pomorzu. Po scharakteryzowaniu życia plastyki pomorskiej w okresie międzywojennym, naświetlone zostały zadania stojące dziś przed sztuką polską, zadania integralnego związania ziem odzyskanych z ogólnopolskim ruchem artystycznym.

Dyskusja nad referatem nakreśliła m. in. swoistość struktury województwa pomorskiego, jeśli idzie o charakter poszczególnych środowisk. Do najżywotniejszych należą poza stolicą województwa: Toruń, dalej Inowrocław, Włocławek i Grudziądz. Czynnikiem wiążącym wysiłki wymienionych ośrodków stał się Okręg Pomorski Z. P. A. P., którego zarząd dokłada wszelkich starań, aby możliwie w najbliższym już czasie uruchomić **Pomorski Dom Sztuki** w Bydgoszczy. Ten Pomorski Instytut Propagandy Sztuki pozwoli dopiero w całej pełni na podjęcie szerokiej akcji wystawowej. Plan tej akcji ujęty został tak, aby w ramach zmienianych co miesiąc stałych wystaw prezentować najpoważniejsze osiągnięcia plastyki pomorskiej na przemian z pokazami umożliwiającymi społeczeństwu pomorskiemu zapoznanie się z całokształtem sztuki polskiej. Tak pojęta akcja wystawowa będzie najpoważniejszym czynnikiem w walce z analfabetyzmem plastycznym i w dążeniu do upowszechnienia sztuki. Będące już w końcowym stadium prace nad przebudową wnętrz Pomorskiego Domu Sztuki — pozwalają wyrazić nadzieję, że w najbliższych już tygodniach, reprezentacyjny pomorski salon wystawowy otworzy swe podwoje.

Poza sprawą akcji wystawowej omówione zostały obszernie także problemy kształcenia artystycznego młodzieży pomorskiej. Nader ważna ta kwestia została w znacznej mierze należycie rozwiązana dzięki organizowaniu Wydziału Sztuk Pięknych przy Uniwersytecie im. Kopernika w Toruniu oraz Szkoły Sztuk Plastycznych w Bydgoszczy. W toku jest sprawa uruchomienia Ośrodków Krzewienia Kultury Plastycznej w pozostałych środowiskach pomorskich. Pierwszy Ośrodek czynny jest już w Chełmnie. Przewidziane są nadto podobne ogniska w Inowrocławiu, Włocławku, Grudziądzu i w Chojnicach.

Co się tyczy akcji Spółdzielni Pracy Artystów, to zorganizowano już tego typu spółdzielnie w Bydgoszczy i w Toruniu. Walczą one z dużymi trudnościami zewnętrznymi. I tak np. Spółdzielnia Pracy Artystów w Bydgoszczy wciąż jeszcze, mimo półrocznych zgórą starań, nie spotkała się z należytym zrozumieniem u właściwych czynników, decydujących o przydzielaniu lokali sklepowych. Należy wyrazić nadzieję, że nowoobranemu Zarządowi uda się jednak zdobyć należyte zrozumienie dla ważności zadań poruczonych spółdzielniom artystów.

rezultacie przeprowadzonych w trakcie walnego zjazdu wyborów wyłoniony został następujący nowy zarząd Okręgu Pomorskiego Związku Polskich Art.-Plastyków: Prezes — Marian Turwid, v.-prezes — Tymon Niesiołowski, sekretarz — Stanisław Brzęczkowski, skarbnik — Jadwiga Daszkiewiczowa, członkowie zarządu: Bronisław Jamontt, Eugeniusz Przybył, Józef Kozłowski i Tadeusz Mokrzycki. W skład komisji rewizyjnej weszli: Jadwiga Szyszko, Henryk Czaman, Antoni Grabarz. Do sądu koleżeńskiego wybrano: Henrykę Królikowską, Władysława Kossa i Dargiewicza. Komisję Artystyczną Okręgu stanowią: Tymon Niesiołowski (prezes), Jan Wodyński (v.-prezes), Marian Turwid, Stanisław Brzęczkowski, Tadeusz Mokrzycki.

W części oficjalnej Zjazdu wzięli udział: Naczelnik Wojew. Wydziału Kultury i Sztuki prof. Jerzy Remer, prezydent miasta Bydgoszczy inż. Twardzicki oraz przedstawiciele pokrewnych związków artystycznych.

### OSTATNIA DROGA WIELKIEGO RZEŹBIARZA

W dniu 20 grudnia 1945 r. złożone zostały na wieczny spoczynek zwłoki jednego z najwybitniejszych art.-rzeźb. polskich

### HENRYKA KUNY

Mianowany ostatnio profesorem na Wydz. Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika przebywał znakomity artysta w Toruniu współpracując w organizacji Wydziału Sztuk Pięknych. W dniu 20 ub. mies. po nabożeństwie żałobnym w kościele N. M. P. wyprowadzono zwłoki Zmarłego na cmentarz przy ul. św. Jerzego. Ostatnią przysługę oddali Wielkiemu Artyście przedstawiciele Senatu Uniwersytetu im. Kopernika, reprezentanci władz państw. i samorz., społeczeństwa m. Torunia i młodzieży uniwersyteckiej. Szczególnie licznie zgromadzili się nad grobem ś. p. Henryka Kuny Jego koledzy, stawiły się delegacje artystów-plastyków z Bydgoszczy i Inowrocławia, z Zarządem Związku Polskich Art.-Plastyków Okręgu Pomorskiego na czele.

Nad otwartą mogiłą przemówił prof. Tymon Niesiołowski — kolega i przyjaciel Zmarłego, dając wyraz ogromnej stracie, jaką poniosła Sztuka Polska przez śmierć jednego z najwybitniejszych jej przedstawicieli.

# ŻYCIE ARTYSTYCZNE STOLICY POMORZA

## *Literatura*

Środy literackie organizowane przez Klub Literacko-Artystyczny w Bydgoszczy w Robotniczym Domu Kultury nie są jedynie wyrazem propagowanej obecnie dążności do spopularyzowania na terenie Pomorza najogólniejszych wartości literackich, lecz w tym stadium swego rozwoju świadczą o istniejącym w pełni znaczenia tego słowa głodzie literatury i sztuki wśród większości społeczeństwa. To też należy wyrazić żal, że mimo najusilniejszych starań Klubu Lit.-Art. zdawna zapowiadane otwarcie reprezentacyjnego pomorskiego „Domu Sztuki" w Bydgoszczy z jego obszernymi salami odczytowymi, koncertowymi i wystawowymi, dotychczas jeszcze nie nastąpiło, a co najważniejsze, wiele jeszcze trzeba będzie włożyć wysiłków nie w remont wprawdzie, który w dużej mierze został już wykonany, ale przede wszystkim w urządzenie wewnętrzne gmachu, instalacje i umeblowanie, żeby mógł się on stać (nomen-omen!) rzeczywiście powszednim domem sztuki polskiej na Pomorzu.

Sala, w której obecnie wieczory literackie się odbywają, jak się okazuje nie zawsze wystarcza na potrzeby literatury bydgoskiej, zwłaszcza jeśli program przewiduje odczyty na temat twórczości najpopularniejszych pisarzy polskich. Tak było przede wszystkim w czasie prelekcji prof. dr. Konrada Górskiego noszącej tytuł: „Żeromski a romantyzm polski". Prelegent postawił sobie jednak za zadanie nie tylko wykrycie pierwiastków romantycznych w twórczości Żeromskiego, lecz na podstawie tych zdobyczy polskiego romantyzmu, które są trwałymi osiągnięciami naszej literatury, chciał wykazać niesłabnącą aktualność dzieła Żeromskiego. Problem ten, tak szeroko ostatnio w naszej prasie literackiej dyskutowany, został przez prof. Górskiego naświetlony z całą wszechstronnością, a sugestywna forma wykładu sprawiła, że niewątpliwie Żeromski zyskał sobie w Bydgoszczy nowe, pokaźne grono wielbicieli. I chociaż prelegent zastrzegł się, że przemawia jako przedstawiciel starszego pokolenia pisarzy polskich w sprawach, których z perspektywy jednego zaledwie roku naszego nieskrępowanego życia literackiego nie da się jeszcze rozstrzygnąć, przekonał napewno także wielu młodszych słuchaczy.

Poprzednio jeszcze Klub Literacko Artystyczny uczcił dwutysiąclecie śmierci poety i filozofa rzymskiego Lukrecjusza. Jedyne dzieło Tytusa Lukrecjusza Carusa, poemat filozoficzny „O naturze wszechrzeczy" w ostatnich czasach wszedł znowu w orbitę poważniejszych zainteresowań, choćby jako pierwszy literacki dokument materialistycznego poglądu na świat, poza tym zaś frapuje przez swą najobszerniej chyba w klasycznym piśmiennictwie wyłożona atomistyczną teorią budowy wszechświata. Ciekawy ten temat został przez prelegenta Aleksandra Dzienisiuka, rzucony na najszersze tło ogólnoludzkiej myśli filozoficznej, pasjonując licznie zgromadzoną publiczność. Wstępem do wieczoru była krótsza prelekcja drugiego filologa klasycznego wśród literatów miejscowych, Alfreda Kowalkowskiego, o aktualności kultury antycznej, uzupełniły ją zaś recytacje kilku fragmentów poematu Lukrecjusza, częściowo w przekładzie prelegentów.

Odbył się także wieczór zespołu „Arkony" z udziałem Mariana Turwida, Jana Piechockiego, Jerzego Remera, Aleksandra Dzienisiuka i Alfreda Kowalkowskiego na którym autorzy odczytali kilka najnowszych swych prac z zakresu publicystyki, prozy i poezji.

Z okazji rewindykacji ołtarza Mariackiego mówił o Wicie Stwoszu i jego największym dziele prof. Jerzy Remer w wykładzie pt. „Tragedia arcydzieła". Ilustrowane obszernie obrazami świetnymi wywody prelegenta pozostawiły wrażenie nie tylko dzięki swej ciekawej i żywej formie lub dzięki ogromnej wiedzy prelegenta, nie tylko z powodu frapującej zawsze, a obecnie jeszcze bardziej interesującej kwestii pochodzenia wielkiego rzeźbiarza, ale w dużej mierze także wskutek poruszenia problemów konserwatorskich i przez pewne osobiste potraktowanie tematu, prof. Remer bowiem kierował ostatnimi pracami nad restauracją arcydzieła Wita Stwosza.

Wreszcie ostatnią środę literacką poświęcono poezji kaszubskiej. Prelegentem był Andrzej Bukowski, b. redaktor „Teki Pomorskiej" i wydawca szeregu dzieł literatury kaszubskiej, a dzięki temu najlepszy obecnie znawca tematu. Bukowski omówił szczegółowo tematykę literatury kaszubskiej, ilustrując obszernie swą prelekcję recytacjami wierszy gwarowych, co wytworzyło w rezultacie barwny i wszechstronny obraz tej tak mało u nas znanej dziedziny naszego piśmiennictwa.

Rocznicę mickiewiczowską uczczono uroczystą Akademią w Teatrze Polskim. Prelegentem był Aleksander Dzienisiuk, który odbiegając od szablonu utartego w historii literatury, omówił twórczość wielkiego poety pod katem widzenia współczesności. Podkreślić należy także fakt, że również i młodzież szkolna zorganizowała publiczny wieczór mickiewiczowski, że ponad to młodzież ta coraz częściej występuje z imprezami literackimi, co dobrze świadczy o zainteresowaniach młodego pokolenia. Coraz bardziej ożywiona staje się także działalność „Czytelnika", urządzającego wieczory o zabarwieniu folklorystycznym i częste odczyty.

K.

## *Teatr*

Niestety zapowiedziana fuzja Teatru Bydgoskiego z Teatrem Ziemi Pomorskiej w Toruniu pod jednym kierownictwem dyr. Aleksandra Rodziewicza nie została uwieńczona trwałym powodzeniem. Był to poniekąd zawód dla szczerych miłośników teatru, oczekujących w rezultacie współpracy dwóch zespołów częstszego urozmaicenia repertuaru.

Na scenie bydgoskiej ujrzeliśmy ostatnio naturalistyczną sztukę Hermana Heijermansa „Dzień Zaduszny", odegraną przez zespół toruńskiego teatru oraz komedię Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej „Dowód osobisty" i „Lekkomyślną siostrę" Perzyńskiego w wykonaniu artystów bydgoskich. Trzy sztuki i trzy problemy, przy czym „Dzień zaduszny" silnie zabarwiony filozofią w kierunku etycznym, — dwie ostatnie zdecydowanie społeczne, różniące się jedynie swym klasowym obliczem. Heijermans wprowadza wątek dramatyczny, osnuty na tle tragedii proboszcza Hansena, szlachetnego apostoła miłosierdzia, który, kierując się czystym i gorącym uczuciem miłości bliźniego, przygarnia pod dach swej plebanii na czas połogu matkę nieślubnego dziecka. Ten samo przez się zrozumiały akt humanitaryzmu ściąga jednak na nieszczęśliwego kapłana oburzenie i potępienie ze strony parafian, inspirowanych przez kolegę Hansena, księdza Bronka, typowego przedstawiciela scholastycznej kazuistyki. Budowa ideologiczna utworu, wspierająca się tylko pozornie na konwencjonalnym rusztowaniu, przy głębszym spojrzeniu pozwala dojrzeć śmiały i wprost rewelacyjny jak na owe czasy (1904 r.) problem oraz zamiar autora ujawnienia odmiennego od metafizycznych pojęć światopoglądu. Pomimo pewnej powściągliwości autora w nadawaniu wyraźnych kształtów swym myślom przy powierzchownym nawet systemie rozumowania widz musi uznać bigoterię i fanatyzm religijny za główne źródło przesądu i ciemnoty, które każą pobożnym parafianom ciskać kamienie w okna plebanii. Na tle dwóch odrębnych systemów myślenia tragiczna bezowocność misji apostolskiej księdza Hansena wobec „upadłej" Rity — staje się całkiem logiczna i konsekwentna. Między wierzącym głeboko kapłanem a duszą kobiety, odczuwającej panteistyczny kult przyrodniczego prawa, nie ma wspólnych więzów umożliwiających wzajemne zrozumienie i pojednanie z Bogiem, pojętym przez Hansena całkiem metafizycznie. W realizacji scenicznej dało się wyczuć, troskliwą rękę reżysera (Rychłowski), popartego staranną wymową dekoracji Makojnika, ujmującej wiernie wnętrze wiejskiej plebanii. Również w roli księdza Hansena Rychłowski tworzy kreację pełną szczerej sympatii i bolesnego współczucia, która w wielu momentach potrafi osiągnąć duże napięcie dramatyczne. Jedynie „bezimienny" aktor w epizodycznej roli męża Rity zdradził brak szczerości w uczuciu, nie popartym harmonią gestu i mimiki.

„Dowód osobisty" Pawlikowskiej ma charakter dość ślamazarnej i powściągliwej satyry, godzącej w arystokrację, a zwłaszcza w atawistyczne uroszczenia tej zdetronizowanej dawno klasy społecznej. Zebrzydowieccy swą starczą dziecinadą i niedołęstwem, odziedziczonym w spadku po społecznej inercji i sybarytyzmie, zdradzają wprawdzie agonię swego światopoglądu, ale zasadniczy wątek dramatyczny wspiera się na sztucznym i wprost niesamowitym efekcie, za który musimy uznać owo „piętno heraldyczne" rodu Zebrzydowieckich. Fantastyczny ton satyry upraszcza w dużym stopniu literacką i ideologiczną kompozycję i rozwiązanie konfliktu w sposób równie efekciarski jak i nieprawdopodobny. Sztuka odznacza się natomiast piękną formą, widoczną w starannie wystylizowanym języku, ścisłej logice w budowie zdania i inteligentnej replice. Reżyseria Strzeleckiego poszła po linii literackiej tradycji i podała sztukę w gotowej formie, opracowanej pod względem scenicznym sumiennie. Strzelecki (Błażej) jako typ patologiczny hrabiego schizofrenika budzi duże wrażenie swą flegmą i apatią. Poza tym podkreślić należy grę dobrze zapowiadającej się Marty Nowosadówny w roli Malwiny, żony Błażeja.

„Lekkomyślna siostra" Włodzimierza Perzyńskiego to jeszcze jedna satyra ale tym razem na mieszczaństwo, a więc bliższa naszej epoce. Umiarkowana w tonie odbiega zasadniczo od naturalistycznych i jaskrawych obrazów Zapolskiej i stara się w pogodnym humorze zdemaskować korupcje mieszczańskiego środowiska. Autor pomimo swej lekkiej ironii i niefrasobliwej satyry potrafił jednak napiętnować głównego sprawcę wypaczenia moralnego, zarażającego pruderią i cynizmem. Rzec można nawet, że potrącił zasadniczy nerw zła, za który słusznie uchodzi dyktatura pieniądza i jego niewolniczy kult. Był to atak tym bardziej skuteczny, że zwracał się przeciwko owemu berłu gospodarczemu, które terroryzowało nie tylko niższe warstwy społeczne, ale również (o ironio losu!) tego, kto je dzierżył. — Tutaj właśnie widoczny jest tragiczny los mieszczaństwa, które uległo rozkładowi pod destruktywną przemocą własnego oręża.

Namiętny nurt psychologiczny utworu, niosący z sobą akcenty groteski naruszył jednolitą linię reżyserii. Łagodny ton w scenie powitania wzbogaconej siostry gubi się w hałaśliwym przejaskrawieniu. Utrzymany zaś we właściwej skali, przemawiałby znacznie głębiej do widza. Niejednolita passa zaciążyła również na grze poszczególnych aktorów, którzy obok kapitalnych momentów, posiadali słabe i niepozbawione szarży. Od tego nierównego tła odcinała się należytą miarą ekspresji Niczewska w roli „lekkomyślnej siostry". Guttner — (Henryk Topolski) tym razem dość sztywny, znakomicie wszakże odtworzył paroksyzm chciwej żądzy wzbogacenia się. Wilkoszewska (Helena) we fargmentach nie wolna od przesady grała na ogół z wdziękiem i temperamentem, oddając trafnie psychikę obłudnej moralistki. To samo dało by się powiedzieć o Barczewskiej (Ada). Dekoracja Muszyńskiego ujmowała łagodną kolorystyką i poprawnym wykonaniem architektonicznym.

Dnia 21 grudnia Teatr Bydgoski wystawił „Klub Kawalerów". Spośród bogatej twórczości dramatycznej Bałuckiego wybór tej właśnie komedii stanowi swego rodzaju niespodziankę dla krytyka, który raczej oczekiwał by „Grubych ryb" lub „Radców pana radcy". „Klub kawalerów" wnosi ze sobą na scenę atmosferę żartobliwo-sentymentalną, nasiąkniętą romantyzmem uczuć i ckliwą kokieterią, ignorującą prymitywne zasady psychologicznej prawdy. Wobec powyższego realizacja sceniczna poszła po linii szerokiej inicjatywy, zrywając w dziedzinie formy ze sztywnością literackiej tradycji. Stanowisko to musimy na ogół uznać za słuszne, zwłaszcza w stosunku do autorów, którzy z biegiem czasu siłą rzeczy stawali się coraz gorszymi reżyserami swych własnych utworów. Jednakże inscenizacja „Klubu kawalerów" zbyt nonszalancko potraktowała głos autora, nadając mu rewiowo-operetkowy wydźwięk. Całość — to efektowny wodewil, w którym znać było dobrą reżyserię Strzeleckiego, dużo artystycznej rutyny Oli Obarskiej, barwną kolorystykę dekoracyj Muszyńskiego, ale najmniej czuło się obecność Bałuckiego i ówczesnej epoki.

„Klub kawalerów" w zbyt śmiałej reżyserii Strzeleckiego może wprawdzie (niestety!) uchodzić za rarytas w ocenie powierzchownego widza, ale w każdym razie będzie to twór wewnątrz próżny, z wierzchu pociągnięty grubą warstwą taniego lukru, który swą mdłą słodyczą, co gorsza, może zwodzić podniebienie niezbyt wybrednego smakosza... Tym bardziej, że przenosi go jednocześnie w „krainę ułudy", gdzie wszystko rozbrajająco naiwne, pogodne i szczęśliwe... w krainę mieszczańskiej baśni.

**Aleksander Dzienisiuk.**

## *Muzyka*

Jeślibyśmy mieli przynajmniej kilka koncertów publicznych w Bydgoszczy — powiedzielibyśmy, że życie publiczne w naszym mieście... „kipi" lub „wre". Propozycji koncertowych aż za dużo, — niestety musimy wszystkie odkładać... bo ten „Dom Sztuki"!... Mamy jednak wciąż piękne nadzieje a „różanopalca" Aurora budzi się ze snu. Więc może?!...

Dużym sukcesem jest orkiestra symfoniczna Polskiego Radia, która wystąpiła już kilka razy publicznie — niestety tylko w „salonowym" repertuarze. Kiedy wreszcie rozbrzmiewać będą tony przepięknych symfonij, koncertów fortepianowych lub innych?!

Tymczasem przyszli adepci muzyki zamknięci w laboratoriach muzycznych Pomorskiej Średniej i Niższej Szkoły Muzycznej, (bo tak obecnie nazywa się b. Konserwatorium Miejskie), wytężają swe siły w maratońskim biegu do doskonałości muzycznej. A nielada szybkobiegaczy możemy wśród nich zaobserwować... Prawie normalnie odbywają się audycje muzyczne po gimnazjach, liceach i szkołach bydgoskich. Są entuzjaści bardzo pochlebnie wyrażający się o dzisiejszych audycjach, — są jednak i malkontenci, twierdzący, że obecne audycje nie umyły się do koncertów przedwojennych. Nie znam przedwojennych audycyj bydgoskich — śmiem jednak twierdzić, że, pomimo pewnych braków i przeoczeń, pomimo eksperymentalności obecnych audycyj, przynoszą one korzyść młodzieży, a że rozwijać się będą coraz sprawniej — to jasne.

Organizatorzy pokonywać muszą szereg trudności: jak niechęć odłamu niemuzykalnej młodzieży, a następnie pewien opór dyrekcji szkół, które, pomimo okólników Ministerstwa Oświaty, głoszących, że audycje są obowiązkowe, nie chcą przymuszać młodzieży do uczęszczania na nie, tłumacząc to czynnikiem materialnym. Sądzę jednak, że 5,— zł od ucznia gimnazjum i 2,— zł od ucznia szkół powszechnych nie są zawrotną sumą, nawet na obecne warunki, skoro najtańszy bilet do kina kosztuje 30,— zł.

Artyści muzyki lekkiej założyli Spółdzielnię Pracy, otrzymując przydział kawiarni-restauracji „Tęcza" (b. Bristol). Inicjatywa godna uznania!

Sekcja muzyczna Komitetu obchodu 600-lecia Bydgoszczy ogłosiła konkurs na hejnał miasta, który ma być grany codziennie z wieży kościoła Klarysek.

Sądzić należy, że przede wszystkim muzycy pomorscy wezmą w tym konkursie liczny udział.

W ramach obchodu 600-lecia przewiduje sie m. in. festival muzyki polskiej i konkurs chórów — będzie to bardzo potrzebna impreza muzyczna.

**Jerzy Jasieński.**

# TEATR W TORUNIU

Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu ma piękne tradycje. Kierowali tą ważną placówką kulturalną: Mieczysław Szpakiewicz, Karol, Benda a przez pięć sezonów przed katastrofą wrześniową — Władysław Bracki.

Nawiasem mówiąc, nazwa teatru była mylnie interpretowana. Teatr Ziemi Pomorskiej posiadał charakter placówki kulturalnej, promieniującej na całe Pomorze. Wprawdzie teatr objeżdżał teren ziemi pomorskiej, jednakże był placówką stałą, teatrem miejskim stolicy Pomorza, obejmującym jedynie gościnnymi występami prowincję. Po przyłączeniu do Wielkiego Pomorza — Bydgoszczy, a więc siedziby drugiego teatru. podzielono sferę wpływów obu placówek: Teatr Miejski w Bydgoszczy objeżdżał część województwa północno-zachodnią, a Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu część południowo-wschodnią.

Trzeba pamiętać, że za dyrekcji Brackiego Teatr Ziemi Pomorskiej wybrnął z arcytrudnej sytuacji finansowej, dał dwa tysiące przedstawień w stolicy Pomorza i tysiąc na prowincji. Te cyfry mają swoją wymowę. A jeśli uwzględnić ówczesny wysoki poziom artystyczny sceny toruńskiej, sprawną administrację, wzbogacenie szatni i rekwizytorni, stałą systematyczną prace na polu szerzenia kultury teatralnej, uzyska sie naprawdę imponujący bilans, którym nie każdy teatr w Polsce mógł się poszczycić.

Dalszy pomyślny rozwój Teatru Ziemi Pomorskiej unicestwiła ostatnia wojna. W pamietnych dniach września 1939 r. umilkła w grodzie Kopernika polskim językiem przemawiająca do torunian Melpomena, a rozległy się armaty. A kiedy w Polsce ucichła chwilowo wrzawa wojenna, do teatru toruńskiego wtargnęła niemczyzna, by panoszyć się w nim niemal 6 okropnych lat.

W oswobodzonym przez wojska radzieckie Toruniu znalazł się w pierwszych dniach marca długoletni kierownik Teatru Ziemi Pomorskiej dyr. Władysław Bracki, a w ślad za nim podążyła do grodu Kopernika część dawnych aktorów toruńskich. Luki, spowodowane wojną w szeregach aktorskich, wypełniły siły nowe. Na afiszu Teatru Ziemi Pomorskiej pojawiły się znów po latach nazwiska dobrze znane melomanom toruńskim: Alfreda Lodzińskiego, Stanisława Milskiego, Władysława Surzyńskiego, Andrzeja Kuryłły, Józefa Wasilewskiego i Witolda Rychtera. Przygnany dobrymi wiatrami Mieczysław Szpakiewicz znalazł niestety w Toruniu już tylko miejsce wiecznego spoczynku. Cenny nabytek dla sceny toruńskiej stanowił Konstanty Pągowski, członek „Reduty", zasłużony artysta teatrów warszawskich, krakowskich i wileńskich. Należy też zanotować współpracę Franciszka Rychłowskiego, byłego dyrektora Teatru Polskiego w Kijowie, a następnie w Wilnie Dalej na liście figurowali Stanisław Kubiński, Klemens Puchniewski, Igor Przegrodzki i Leopold Dętkowski.

Płeć piękną w zespole toruńskim reprezentowały: Irena Jasińska-Dętkowska, Halina-Dunin-Rychłowska, Zofia Molska, Wanda Stanisławska-Lothe, Arczyńska-Rewkowska, Zofia Hajdamowicz, Rena Tomaszewska, Halina Drohocka, Bronisława Freitażanka, Maria Mincerówna, Hanna Skarżanka, Maria Kościałkowska i Irena Maślińska. Kierownictwo plastyczne powierzone zostało doświadczonym rekom Wiesława Makojnika, kierownictwo literackie objął Tadeusz Łopalewski, znany autor dramatyczny i beletrysta.

Dyrekcja Teatru Ziemi Pomorskiej stanęła przed poważnymi trudnościami, gdyż okupant nie zniszczył nam wprawdzie pieknego gmachu teatralnego, lecz teatr ogołocił zupełnie z kostiumów, rekwizytów, dekoracyj i wszelkich środków technicznych.

Trudności te zostały cześciowo rozwiazane dzięki skierowaniu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki do Torunia Teatru Dramatycznego z Wilna. Zespół wileński przywiózł ze sobą część kostiumerii, dekoracyj, dzięki czemu, akurat w miesiąc po przybyciu wilnian stało się możliwe otwarcie sceny toruńskiej. W połowie czerwca Teatr Ziemi Pomorskiej zainaugurował sezon komedią Fredry „Damy i Huzary", po czym wystawiono „Pigmaliona" Shaw'a, „Moralność Pani Dulskiej" Zapolskiej, „Jeńców" Rydla, „Szczęście Frania" Perzyńskiego i szereg innych sztuk.

Wileńska Komedia Muzyczna, repatriowana razem z wileńskim zespołem dramatycznym do Torunia, nie potrafiła się nad Wisłą zadomowić. Zaprezentowała się w kilku rewiach i w „Podwójnej Buchalterii" Hemara i przeniosła się do Łodzi.

Sytuacja finansowa teatru była niestety bardzo niepomyślna i ulegała stałemu pogorszeniu. Dyrekcja teatru nie potrafiła przezwyciężyć pietrzących się trudności technicznych. Wydatki rosły w nieskończoność, a kasa (mimo kompletów na widowni) nie mogła wywiązać sie ze swych zobowiązań finansowych. Głośno mówiło się o kryzysie w teatrze. Dyr. Bracki podał się do dymisji, Tadeusz Łopalewski przeniósł się do Łodzi, a znaczna część drużyny aktorskiej opuściła nasze miasto.

Odeszli: Surzyński, Skarżanka i Milski. Władysław Surzyński młody, utalentowany, sympatyczny artysta dramatyczny, znany był nie tylko Toruniowi, lecz i całemu regionowi pomorskiemu ze swej wieloletniej pracy scenicznej w Teatrze Ziemi Pomorskiej. Niezapomniane są jego dawne kreacje w „Spadkobiercy", „Kaliguli", „Gałązce rozmarynu" i dziesiątkach innych utworów poważnych i lekkich. Dał się też Surzyński poznać jako uzdolniony deklamator oraz autor sztuk dla dzieci. Radiosłuchacze pamiętają go również doskonale.

Hanna Skarżanka, młoda, uzdolniona artystka wileńska, mimo krótkiego pobytu swego w naszym mieście zdołała sobie bezapelacyjnie zaskarbić względy teatralnej publiczności toruńskiej staranną grą, kulturą sceniczną i miłą aparycją.

Stanisława Milskiego znał Toruń ze swej sceny jako pełnego temperamentu aktora i rzutkiego reżysera oraz speakera dawnej rozgłośni toruńskiej.

W ślad za tą miłą trójką opuścili Toruń i inni aktorzy. Zespół uległ zdziesiątkowaniu. W połowie października znalazło się chwilowe remedium na niedomagania toruńskiego życia teatralnego. Nastąpiła fuzja teatru toruńskiego i bydgoskiego.

Połączone teatry bydgoski i toruński rozpoczęły swoją pracę pod kierownictwem artystycznym dyr. Aleksandra Rodziewicza i dyr. Władysława Brackiego. Dnia 25 października br. wystawiono na scenie naszego teatru komedię Piotra Caron de Beaumarchais „Wesele Figara" w przekładzie Boy-Żeleńskiego w inscenizacji Czesława Strzeleckiego z ilustracją muzyczną Kazimierza Serockiego. Udział brali artyści z Teatru Polskiego w Bydgoszczy. Dalej teatr bydgoski wystawił w Teatrze Ziemi Pomorskiej reportaż sceniczny „Nie zgineła" K. Wroczyńskiego, „Ostrożnie — świeżo malowane" R. Fauchois, „Lekkomyślną siostrę" W. Perzyńskiego i „Zemstę" Al. Fredry.

Ale już dnia 23. 10. br. złożył Aleksander Rodziewicz na ręce Ministra Kultury i Sztuki rezygnacje ze stanowiska dyrektora Teatru Ziemi Pomorskiej w Toruniu.

W rezultacie narad Ministerstwo mianowało Wilama Horzycę dyrektorem Teatru Ziemi Pomorskiej.

Teatr Polski w Bydgoszczy zobowiazał się obsłużyć przedstawieniami Toruń do dnia 1-go grudnia br. Tym samym fuzja teatru Torunia i Bydgoszczy przestała już istnieć.

Dyr. Wilam Horzyca, nowomianowany kierownik sceny toruńskiej zapowiada na najbliższą przyszłość nastepujace premiery: Krystyny Grzybowskiej „Promieniści", Moliera „Szkołę żon", Wiliamsa „Zieleni się zboże", Norwida „Za kulisami" i Bałuckiego „Grube Ryby".

W tej chwili dyr. Horzyca montuje nowy zespół i zabiega o usprawnienie techniczne sceny toruńskiej.

Życzymy powodzenia.

**Mieczysław Dereżyński.**

# GDAŃSK

**Wznowienie działalności Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku.**

Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku założone w 1922 roku istniało i działało przez 17 lat, jako jedyne polskie towarzystwo naukowe na terenie byłego tak zwanego Wolnego Miasta Gdańska. Skupiało ono w sobie nieliczne grono naukowców polskich w Gdańsku, oraz uczonych polskich z poza Gdańska interesujących się badaniami przeszłości Gdańska i problemami morskimi. Towarzystwo ograniczało się początkowo jedynie do działalności popularyzacyjno-odczytowej, od roku 1927 rozwinęło jednak bogatą działalność wydawniczą. W latach 1927—1939 wydało ono 12 tomów „Rocznika Gdańskiego" naukowego periodyku, zawierającego około 75 rozpraw naukowych, nie licząc szeregu drobnych przyczynków źródłowych. Następnie ogłoszono cykl broszur w obcych językach, mających na celu sprostowanie częstych w tych czasach fałszywych poglądów na problemy polsko-gdańskie, jakie rozsiewała w Europie wroga Polsce propaganda. Z dalszych wydawnictw należy wymienić 2 tomy t. zw. „Studiów Gdańskich", zawierających dłuższe monograficzne badania z przeszłości Gdańska i roli w niej Polaków, oraz również 2 tomy t. zw. „Biblioteki Gdańsko-Pomorskiej", w której ogłoszono antologię poezji polskiej morzu poświęconej, oraz nieznany poemat morski Borzymowskiego z XVII wieku. Księga pamiątkowa ku czci Mrongowiusza, nauczyciela języka polskiego w Gdańsku i badacza języka polskiego, oraz 2 tomy listów Przybyszewskiego zamykały ważniejsze pozycje wydawnicze. Zorganizowanie i utrzymywanie Polskiej Stacji Naukowej w Gdańsku, wraz z odpowiednią biblioteką naukową, liczącą przeszło 2250 dzieł, kontakt z naukowymi towarzystwami w kraju i zagranicą, urządzanie zebrań naukowych i odczytów, udział w organizowaniu kursów wiedzy o Gdańsku — to dalsze punkty działalności przedwojennej Towarzystwa.

Wybuch wojny przerwał tę pracę na lat sześć. Obecnie Towarzystwo wznowiło swą działalność, a na odbytym dnia 9 grudnia 1945 r. w sali Rady Miejskiej w Sopocie nadzwyczajnym walnym zebraniu członków dokonano uzupełniających wyborów Zarzadu i rzucono plany dalszej pracy naukowej i wydawniczej. Gotowe do druku są liczne prace naukowe, których druk mógłby się już rozpocząć, kontynuowana bedzie od szeregu już lat przygotowywana publikacja źródłowa „Monumenta Poloniae Maritima", mająca na celu zobrazować morska działalność Polski w ciagu jej dziejów, wznowiona będzie również praca odczytowa i badawcza. Jeżeli w latach trudnej przedwojennej działalności wśród wrogiego elementu niemieckiego dawnego Gdańska Towarzystwo wykazało nieprzeciętną żywotność i poważne naukowe rezultaty swej pracy — to żywić można nadzieje, że i dalsza jego praca — obejmując coraz szersze horyzonty spraw morskich i pomorskich pomyślnym potoczy sie torem.

**M. Pelczar.**

# OLSZTYN

**Życie kulturalne w Okręgu Mazurskim.**

Od poczatku bieżacego roku szkolnego uruchomiona została w Olsztynie, pierwsza na terenie Okregu Mazurskiego, Szkoła Muzyczna im. Fr. Chopina. Dyrekcje objał p. Mirosław Dąbrowski z Warszawy, który wielkim nakładem pracy i energii zapewnił szkole odpowiednie pomieszczenie i odpowiednia obsadę nauczycielska. Szkoła obejmuje 2 działy — właściwa szkołe muzyczna i dział umuzykalnienia. Szkoła liczy już 150 uczniów.

Również staraniem dyr. Dabrowskiego urządzane sa w Olsztynie co pewien czas koncerty wirtuozów i solistów z Warszawy. Nie ciesza się one jednak, niestety, należyta frekwencja.

Od dnia 18 listopada 1945 r. czynny jest w Olsztynie stały Teatr Państwowy im. Stefana Jaracza, pod dyrekcja Stan. Wolickiego. Wystawiono na poczatek Zapolskiej — „Moralność Pani Dulskiej", Kańskiego — „S. O. S.", a w piatek 7 grudnia odbyła się premiera „Matury" Fodora. Obsada artystyczna i reżyseria bardzo dobra, frekwencja publiczności ponad wszelkie spodziewanie dobra. Nie można zapominać, że teatr olsztyński ma 700 miejsc, a bilety prawie na wzsystkie przedstawienia sa rozsprzedane. Teatr im. Stef. Jaracza wystawia co tydzień nowa sztukę.

Staraniem Wydziału Kultury i Sztuki odbyło sie dnia 25 listopada 1945 r. otwarcie Muzeum Mazurskiego na Zamku Olsztyńskim. Na razie udostepniono publiczności tylko kilkaset eksponatów z dziedziny sztuki kościelnej i świeckiej od 16—18 w. (ołtarze i obrazy kościelne, rzeźba kościelna, portrety, przemysł zdobniczy). Muzeum dysponuje jeszcze kilkakrotnie wyższa ilościa eksponatów, wymagajacych restauracji i konserwacji. W miare postepowania robót konserwatorskich, przedmioty te beda również udostepniane publiczności. Wszystkie prawie eksponaty zostały zabezpieczone w terenie, w opuszczonych i po wiekszej cześci splądrowanych dworach i kościołach. Otwarta obecnie cześć Muzeum Mazurskiego posiada bardzo ciekawe i cenne eksponaty, które mogłyby być chlubą wiekszych i starszych zbiorów.

**Kazimierz Reczyński.**

Wydawca: Zespół „Arkony" w Bydgoszczy — Kolegium redakcyjne: Stanisław Brzęczkowski, Aleksander Dzienisiuk, Alfred Kowalkowski, Jan Piechocki, Jerzy Remer, Marian Turwid. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8.
Konto bankowe: Komunalna Kasa Oszczedności miasta Bydgoszczy nr 224.
Prenumerata i kolportaż: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31.
Cena numeru 10,— zł.
Drukarnia Polska, Bydgoszcz, Jagiellońska 19. — E 11010